Nr. 9. Rok II.

We Lwowie 24. Lutego 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

Przedpłata na „ZIARNO“ wynosi:
W miejscu rocznie: 2 zł. — na prowincji: 13 zł.
„ kwartalnie: 3 „ — „ 3 „ 25 ct.

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny.

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji

Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

tudzież wszystkie księgarnie.

PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Administracja **„ZIARNA“** uprasza pp. Abonentów, którzy zalegają dotychczas z bieżącą przedpłatą **o rychłe jej odnowienie**, by można ostatecznie uregulować wysokość nakładu. Ktokowiek z Szan. Czytelników nie zamierza prenumerować „Ziarna“ od 1. bm. nadal — upraszamy, aby go można wykreślić wcześnie z księgi prenumeratorów, o łaskawe i jak najszybsze **zwrócenie otrzymanych numerów.**

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, iż

z dniem 17. Lutego 1883 roku

dobrze znany

ZAKŁAD RESTAURACYJNY

za Żółkiewską rogatką

pod „Dwoma lwami“ w tak zwanym „Pałacu“ — otworzyłem.

O dobre PIWO, MIÓD, WINO, jako też o smaczną wiejską kuchnię

postarałem się.

W Czwartki, Soboty i Niedziele przygrywa ulubiona

MUZYKA najnowsze utwory pod kierownictwem **L. BOGENA**

W każdy Czwartek doskonałe

KISZKI własnego wyrobu

W każdą Niedzielę wyborne warszawskie **FLACZKI** garnuszkowe a la Stępkowski.

Ceny najtańsze.

Lokal mój jest najodpowiedniejszym we Lwowie do urządzenia prywatnych zebrań i zabaw towarzyskich.

Dziękując za dotychczasowe względy, tuszę, że Szan. P. T. Publiczność, mnie w tem trudnem zadaniu, które li tylko dla Jej dogodności i rozrywki przedsięwziąłem, łaskawie licznemi odwidzinami poprzeć raczy, zwłaszcza że obecna tania komunikacja koleją konną, podaje do tego najlepszą sposobność.

Z największym szacunkiem

KRZYSZTOF JANOWICZ.

J. IHNATOWICZ

Fabryka we Lwowie. Filja w Krakowie, Sukiennice l. 20

wyrabia

Znakomite czernidło glicerynowe

pachnące do obuwia, daje piękny połysk, miękczy skórę i chroni od pękania, pudełko 10 i 20 ct.

Smarowidło litewskie

do obuwia i skór, miękczy skórę, czyni ją nieprzemakalną i trwałą, pudełko 50 ct., 1 złr.

Atrament czarny kampeszowy

Atrament niebieski, fioletowy, zielony, czerwony, flaszeczka po 10, i 15 ct. nie pleśnieje, nie osadza się, piór nie psuje, jest zawsze czarny i płynny i zupełnie nieszkodliwy, flaszeczka po 10, 17, 25, 30 i 50 ct.

Farby do stempli

niebieską, fioletową, czerwoną, czarną, flaszeczka po 15 ct.

Powyższe wyroby zostały wyszczególnione czterema medalami zasługi.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za przewyborne perfumy i wody toaletowe.

Woda lwowska odznacza się bardzo przyjemnym i długotrwałym zapachem, zastępuje perfumy, wody pachnące, octy aromatyczne i toaletowe. — Woda lwowska zyskała powszechne uznanie i wziętość w kraju i za granicą. Ponieważ woda lwowska nietylko jest znakomitą perfumą do skrapiania sukień i chustek, lecz użyta także za pomocą rozpylacza, daje bardzo wonne i miłe kadzidło. flakon 80 ct. i 1 złr. 50 ct.

Woda lewandowo-ambrowa. Posiada bardzo przyjemny i silny zapach; służy do skrapiania sukień i chustek, niemniej też użyta za pomocą rozpryskiwacza, daje bardzo przyjemne i wonne kadzidło. Cena flakona 1·20. Pół flakona 70 ct.

Woda lewandowa podwójna. Odszczególnia się nader przyjemnym orzeźwiającym zapachem i używa się nietylko jako woda pachnąca do skrapiania sukień, chustek i mieszkań, lecz także jako woda toaletowa ma obszerne zastosowanie w damskiej toalecie, czy to do nacierania ciała, lub też zmięszania z wodą do mycia. bardzo korzystnie wpływa na płeć i skórę, konserwując i chroniąc ją od wyrzutów, zmarszczek itp. Cały flakon 90 ct. Pół flakona 50 ct.

Woda kolońska potrójna, która o wiele przewyższa swoją dobrocią zagraniczne flakony po 40, 80 i 1·50.

Woda kolońska flakony po 25, 50 i 1 złr.

Ocet toaletowy. Odznacza się nader przyjemnym zapachem i jest powszechnie używanym do odświeżania ciała, skórze nadaje jędrność, czerstwość i chroni ją od wszelkich wpływów szkodliwych powietrza. Służy on również do odświeżania i odwietrzania powietrza w salonach. Cena 50 i 1 złr.

Perfumy. Chypr, heliotrop, jaśmin, Jokey-Klub, hiacynt, lilija, perfuma krakowska, perfumy z kwiatów alpejskich, kwiatów polnych, kwiatów wschodnich, Ess-bouquet, Millefleurs, paczula, rezeda, róża mchowa, Opoponaks, Ylang-Ylang, piżmo, perfuma litewska, fiołek, świtezianki, ambrozja, niezapominajki, pierzczotka, kwiat polski, konwalia, pierwiosnek, róża itp. flakoniki po 30, 50, 75 ct. 1·50 i 2.

Saszetki (Sachet) z zapachem paczulowym, z kwiatów wschodnich, konwaliowym, kwiatów polskich, kwiatów alpejskich, fiołkowym, lewandowym, piżmowym, różanym, heliotropowym itd. po 50 ct., 1 złr. i 4 złr.

Wody toaletowe z zapachami: fiołek, heliotrop, Millefleurs, Ess-Bouquet, służą do nacierania ciała i skrapiania włosów. Flakon 1 złr.

JAN IHNATOWICZ,

magister farmacji i chemik sądowy.

We Lwowie ulica Kopernika l. 3. Filja w Krakowie Sukiennice l. 20.

Nr. 9. We Lwowie dnia 24. Lutego 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.

Nieszlachetna taktyka.

Nie tylko rozumiemy, ale usprawiedliwiamy i tłumaczymy namiętność w polemice. Zależy to od usposobienia jednostki, czy się mniej lub więcej do jakiejś sprawy zapali, w każdym jednak razie jeżeli ma się silne, ugruntowane przekonania, trudno pozostać zimnym w polemice, i czasami nie dać się porwać potężniej, ogniściej.. Jedną tylko rzecz trzeba mieć zawsze na względzie, od niej nigdy pod karą infamji odstąpić nie wolno — a mianowicie trzeba mieć poczucie uczciwości, trzeba wojować prawdą — nigdy fałszem. Niestety zasada jezuicka, że każdy środek dobry, byle prowadził do celu, zasada przez wszystkich zacnych potępiona, jako rzecz przeciwna podstawom moralności, — ma u nas licznych wyznawców... Rzucaj na przeciwnika oszczerstwa, kłam w żywe oczy, jeżeli on powie: biało, a to ci nie na rękę, wmawiaj w niego i ludzi, że powiedział: czarno — wszystko dobrze, byle wroga zniszczyć. Bezczelność, jeżeli nie przekona ludzi słabo myślących, to w każdym razie obałamuci ich, zachwieje — a to już w danym razie równa się zwycięstwu! Oto haniebna teorja, oto podłość — o której chwilowo zapomnieliśmy, a którą nam w najgorszym sposobie przypomniał *Czas* w jednym z ostatnich numerów.

Czytaliście zapewne, łaskawi czytelnicy, piękną, pełną myśli a prostoty odpowiedź Jeża na adresy młodzieży, wystosowane do niego z powodu 25 letniego autorskiego jubileuszu. Odpowiedź ta została przyjętą z najwyższem uznaniem, a choć może nie jeden nie zgadzał się na wszystkie myśli wypowiedziane przez znakomitego męża, musiał przyznać, że jest uczciwym, z głębokiego przekonania płynącym wyrazem zapatrywań tak Jeża, jak i licznej partji postępowej. Ale to bagatela dla *Czasu* — przecież, jeżeli nie można pójść otwarcie, można krytym sztychem — jeżeli nie można zwalczać skutecznie zapatrywań przeciwnika, bo są jasne i uczciwe — to się potrafi przekręcić jego zdania, albo podsunąć mu inne, a czytelnicy są tak łatwowierni, że uwierzą w kłamstwa, tem bardziej, jeżeli je drukują „powagi" — od *Czasu*. Z łatwych do zrozumienia powodów nie możemy przytaczać odnośnych, bądź to poprzekręconych, bądź podsuniętych ustępów, którymi *Czas* wojuje, konstatujemy tylko fakt, który zasługuje na potępienie, jako niesumienność. Nie znaczy to, abyśmy się nie zgadzali na te przekręcone cytaty *Czasu*, owszem przyjmujemy je, chętnie jako swoje, ale rzecz idzie o to, że ich Jeż nie napisał, a w takim razie nie można mu podsuwać myśli, choćby się z jego przekonaniem zgadzały, jeżeli ich kategorycznie i w ściśle określonej formie nie wypowiedział...

Przejdźmy teraz do dalszych twierdzeń *Czasu*. Oto wbrew faktycznemu stanowi rzeczy twierdzi on, że cześć okazana Jeżowi przez wydanie jubileuszowej książki „Ogniska" była tylko wyrazem zapatrywań kilku jednostek, a owe adresy od młodzieży podpisane były przeważnie przez ludzi, nie zdających sobie dokładnie sprawy z własnych czynności. Fałsz bijący w oczy. Proszę przejrzeć listę prenumeratorów, umieszczoną w „Ognisku", która zajmuje 10 kartek bitego druku w dwie szpalty, a okaże się, że nie było u nas jeszcze wydawnictwa, cieszącego się taką popularnością, co przecież jasno dowodzi, że to nie kilkunastu ludzi, ale tysiące uznały za stosowne złożyć hołd uznania dzielnemu szermierzowi postępu. Co do zarzutu, jakoby akademicy podpisani na adresie nie zdawali sobie sprawy z tego, co czynią, to zaiste trudno zbadać, co mogłoby logicznie *Czas* do takiego wniosku doprowadzić? Czyż tylko ci wiedzą, co czynią, którzyby, dajmy na to, podpisali adres do p. Koźmiana lub Lisickiego? Jakże można rzucać taką obelgę uczącej się młodzieży? Przeholowaliście, mości *Czasie*, i wywołaliście swym artykułem wręcz przeciwny od zamierzonego skutek. Artykuł ten nie odarł, nie przypruszył ani jednego listka laurowego wieńca, który otacza poorane w uczciwej pracy czoło Jeża — a grot wymierzony zwrócił się w tego, który go cisnął, okazało się bowiem w całej nagości moralne nicestwo służalców ciemnoty, którzy w braku argumentów muszą się uciekać do kłamstw i obelg... Szczególnie młodzież powinna to sobie zapamiętać...

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Jędruś nie śmiały z natury, a tem bardziej w obec płci pięknej, z którą dotychczas mało miewał relacyj w swem życiu, czuł się formalnie oszołomionym i oniemiałym ciągłą paplaniną panny Karoliny. Głowa go rozbolała, słuchał już machinalnie, a na stawiane pytania odpowiadał ledwie monosylabami, najczęściej potakując wszystko.

— Więc zgoda panie Andrzeju — bo tak go nazywała, utrzymując że „Jędrzej“ brzmi trochę gminnie — zawieramy sojusz zaczepno-odporny, i ślubujemy sobie przyjaźń przynajmniej — na czas dłuższy.... zakończyła rallentando, wyciągając obie ręce do towarzysza, i oblewając go długiem, wymownem spojrzeniem.

— Ależ... z chęcią największą... łaskawa pani... — bąknął chłopak przyjmując podane rączki pulchne, które przypadkiem, czy z umysłu, zostały przez chwilę w jego dłoniach... Krew mu uderzyła do głowy, i równocześnie uczuł w całem ciele jakiś dreszcz nieznany, coś, niby prąd elektryczny, poruszyło go gwałtownie od stóp do głowy. Spuścił w dół oczy, dziwny niepokój załechtał go w piersiach, i instynktownie cofnął obie ręce. Na szczęście dlań, w tem arcykłopotliwem położeniu, lokomotywa zagwizdała z oznajmieniem, że pociąg wjeżdża na stację. Ponieważ tu już wysiadać mieli, zaczęło się zwykłe w takim wypadku krzątanie, i szukanie za pudełkami, torebkami i zawiniątkami, których panna Karolina wiozła z sobą mnóstwo imponujące. Oczywiście Jędruś, choć tam nie wiele z resztą znał się na galanterji, tyle jednak wiedział, że należy mu zabrać jak najwięcej tłumoczków towarzyszki co mu o tyle łatwiej przyszło, że prócz kuferka skromnych rozmiarów, nieodzownego parasola i laski, nie miał zresztą więcej pakunków własnych.

Zanim dostali się do oczekującej ich przed dworcem bryczki ze Zrębów, jakiś podróżny, spieszący widocznie na szklankę piwa do restauracji, potrącił Jędrusia, przeładowanego pudełkami, z nienacka tak silnie, że biedak upadł przez szyny, jak długi, a wszystkie mantelzaki rozsypały się po peronie. Panna Karolina widząc to wydała okrzyk zgrozy słowami: „Jezus, Marja! moje kapelusze“ i choć ten tak słodko przedtem atakowany pan Andrzej ledwie nie ledwie podniósł się, z widocznie rozbitym i skrwawionym nosem, nie mogła się wstrzymać, aby mu niewyrzucić, „jak może być tak niezgrabnym i krótkowidzącym!“ Zawstydzony i zakłopotany chłopak starał się wykrztusić jakieś niewyraźne słowa przeprosin, i zaraz, potem choć krew mu się rzuciła gęstemi kroplami, nie myśląc wcale o nosie swoim, wziął się pilnie do zbierania rozprószonych na wsze strony tłumoczków. Pierwszy jego debiut in puncto kurtoazji dla płci pięknej, jak widzimy wypadł dlań dość fatalnie, i skończył się natłuczeniem nosa. Człowiek przesądny byłby może z tego wywnioskował horoskop dla siebie niepomyślny, i trzymałby się odtąd na uboczu choćby tylko wobec tej samej panny Karoliny, będącej pośrednio przyczyną tego tragikomicznego wypadku. Jędruś nie miał nigdy najmniejszej skłonności do jakiegoś mistycyzmu, zdarzenia wszystkie oceniał według danych, zdrowym rozumem łatwo pojmowanych, więc i w tem widział tylko skutek nieostrożności swej i nieuwagi. Szkoda tylko, że jedno uszło jego baczności, mianowicie, zachowanie się panny Karoliny, której widocznie szło więcej o kapelusze i rozmaite fatałaszki, wystawione na szwank wśród tej katastrofy, niżeli o osobę usłużnego towarzysza.

Gdy się usadowili na bryczce, panna Karolina ochłonąwszy z irytacji, usiłowała złagodzić wrażenie, sprawione jej poprzednim gniewem i szorstkością. Tłumaczyła się, że jest ogromnie nerwowa, najmniejsza drobnostka pozbawia ją na chwilę spokoju i równowagi umysłu — a wszystko to są tylko następstwa mnogich nieszczęść i cierpień bolesnych, w życiu przebytych. Na zgodę zupełną kazała się w rękę pocałować, co Jędruś uskutecznił natychmiast.

* * *

Państwo Wilscy z pewnem uprzedzeniem i niechęcią oczekiwali przybycia ze Lwowa zapowiedzianej przez Dręckiego pary nauczycielskiej. Gniewała ich myśl, że odtąd stosownie do umowy z opiekunem będą musieli starać się o całe inne żywienie guwernera i guwernantki, co znowu pociągnie za sobą z konieczności pewne zmiany w panujących dotychczas zwyczajach domowych. Nie czuli się nawet tem uspokojeni trochę, że znaczna część zwiększonych w ten sposób wydatków, będzie się im wracała, gdyż jak wiemy, Dręcki zobowiązał się płacić im sześćset zł. rocznie tytułem bonifikacji za przyzwoite utrzymanie dwojga ludzi. Po dłuższej walnej naradzie i wynurzeniu wzajemnem utyskiwań i żałob na tego „przeklętego dziwaka“ Dręckiego, pocieszyli się ostatecznie nadzieją, że może to długo nie potrwa, a gdy się już dzieci trochę poduczą od tych „rarytnych“ jakichś nauczycieli, znajdzie się jakiś sposób pozbycia się z domu niewygodnych przybyszów.

Już to właściciele Zrębów mieli szczęście pozazdroszczenia godne. Dorobili się majątku w stosunkowo krótkim czasie, a prawda dodać każe, nie krzywdą ludzką, lecz w pocie czoła i zaparciem się własnem. Rok rocznie urodzaje mieli najpiękniejsze, grad choć stronami często wymłacał łany dworskie i zagony wieśniacze, omijał zawsze Zręby, inwentarze mnożyły im się bajecznie — a co do dzieci, to już chyba lepszych życzyć sobie nie mogą nawet najwięcej od losu wymagający rodzice.

Jaś i Małgosia były to idealnie dobre i ładne przytem dzieci. Szczególnie dzieweczka, bialutka szatynka o dużych szafirowych oczach, rysy twarzy miała nadzwyczaj regularne i harmonijne, zgrabną figurkę, wzrost nad wiek swój (liczyła ledwie trzynaście lat) aż nadto wybujały, rączki i nóżki maleńkie. Już teraz była zachwycającym podlotkiem, a w przyszłości obiecywała rozwinąć się w skończoną piekność. Przytem łagodna, cicha, trochę nawet do zadumy skłonna, była ulubioną nie tylko ojca, który wobec niej jednej zdolny był nawet do pewnych ustępstw nieznacznych w kwestji swego nieubłaganego skąpstwa i surowego dla podwładnych obejścia — ale jednała sobie każdego kto tylko raz w swem życiu widzieć ją miał sposobność. Kobiety wiejskie przepadały za śliczną gołąbką, jak ją nazywały powszechnie, a uczucie to żon swoich podzielali i gospodarcze, ubiegający się przy każdej sposobności o zadokumentowanie uwielbienia swego wobec dobrej panienki.

I nie mogło być inaczej, gdy się zważy, że lud umie być wdzięcznym. Małgosia nieraz, w największym oczywiście sekrecie przed rodzicami, poratowała na przednówku biedaków jaką miarką żyta lub grochu. Często wyprosiła u ojca wypuszczenie zajętej na dworskiej łące krowy, gdy ta była własnością jakiego biedactwa. Biedaków, jak wiadomo, nie brak nigdy wśród naszego ludu. dla tych zaś jedna krowina całym zwykle dobytkiem i poczciwą karmicielką rodziny. Choć zpasła np. trawy za parę ledwie centów, była jednak reguła w Zrębach przestrzegana pilnie, że złapana na szkodzie sztuka bydła podlegała karze dwu złotych. Skądże wziąć taką ogromną kwotę? – krowa w areszcie a tu dzieci jeść wołają. Jedna Małgosia w takich razach umiała ubłagać ojca — o tem wiedziano na wsi, i kochano ją, jak dobrego anioła. Taką była elewka panny Karoliny.

Jaś, chłopak również przystojny, faworyt matki, zawadjaką był niesłychanym i zawczasu zdradzał, że co do namiętnego szacunku dla grosza, nie daleko jabłko padło od ja-

błoni. Ojca się bał, matkę, — pieszczącą go po kryjomu, w sposób jednak sobie właściwy, o ile to nie kłóciło się z jej bezgranicznem sknerstwem — otóż tę matkę kochał wprawdzie, ale w gruncie rzeczy mało dbał o nią: malec ledwie, w obejściu z nią był zimny i arbitralny. Takim samym objawiał się w stosunku do siostry. Do nauki nie miał szczególniejszej ochoty, natomiast najulubieńszem dlań zajęciem było od dziecka, przebywanie w spichrzu lub w stodole koło robotników, których naganiał i łajał surowo, jak fachowy gumienny.

(C. d. n.).

Z poematu „Nędza.“ *)

Balsam kwiatów włoską ciszą
Ukojenie biednej niesie —
W porfirowym pinij lesie
Siadła i usnęła już...
Ptasze śpiewy ją kołyszą,
Błękit w koło — tylko w dali
Cyprysowy liść się żali
W dumnem rondzie dzikich róż.

Patrz! jak leży prawie naga
Na jedwabnych traw wezgłowiu
W młodej siły hardem zdrowiu —
Mirty zdobią pyszną skroń,
Biała pierś przez sen się wzdraga....
A aromat kobiecości,
Narkotycznej pełen mdłości,
Przezwycięża kwiatów woń.

Śpiąc bez skargi i szemrania,
Wśród ciepłego serca bicia,
Śniła wielką rozkosz życia
W tajemniczym cieniu drzew —
A gdy wstała z mchów posłania
Jak duch leśny z ziół wstający,
To uczuła ból palący
I omdlałą czułą krew.

Z nagłej żądzy i zawzięcia
Poleciała wtedy ona,
Depcąc kwiaty jak rażona,
W tłumy ludzi zgiełk i ścisk —
Miała wtedy wzrok zwierzęcia,
Gdy z ponurej jej źrenicy,
Wśród pałaców na ulicy
Strzelił dziki głodu błysk...

Z rozpuszczonym lecąc włosem,
Z nieśmiertelnych tchnień wysnuta,
Z żył toczona, z krwi wykuta,
Nie zdołała głodu znieść! —
I łkającym z bolu głosem,
Przerażała sytych grono,
Kiedy z twarzą roziskrzoną
Wciąż wołała tylko: Jeść!

Włodz. Stebelski

---

*) Ustęp z niewydanego jeszcze poematu.

BALLADOMANIA

po pierwszem wystąpieniu

MICKIEWICZA,

przez Antoniego Mazanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Trudno nie zauważyć, jak ubogi świat pomysłów Witwickiego.

Zaledwie kilka motywów nieustannie się powtarza, motywów, nie celujących nowością ani głębokością. Stosunek dwojga kochanków, przeszkody, stosunek dzieci do rodziców, sługi do pana — oto wszystko. Narodowej nuty prawie nie słychać.

Znajomości ludzi i świata nie ma.

Autor nie przeżył wiele, nie usiłował dotychczas poważniej myśleć nad życiowymi objawami. Filozoficznego wykształcenia nie miał, praktycznego rozumu życia jeszcze mniej, estetycznego brak prawie zupełny. Czego więcej, to zdolności poetyckich co się zowie miernych. Obrazy jego grzeszą często trywialnością wstrętną i obrzydliwą.

Ta paszczę jak wilk rozwarła,
Jakieś wnętrzności pożera,
Tamta w ręku dziecię trzyma
I zębem mu ciało zdziera,
Ta męcząc się kona niby,
A we krwi wypluwa płuca,
A ta w kształcie strasznej ryby
Włosy, jak pasma zarzuca (str 171);
Głos piszczy, jak rozbita skrzypka“.

„Koń dysze, jak z pieca rozdętemi nozdrzyma“ i t. d. Lichy to poeta, co posiadał tak mało wrażliwości artystycznej. Fantazja jego biedna a pretensjonalna, szuka koniecznie obrazow i porównań, sili się na odtworzenie zmysłowymi dźwiękami zjawisk w naturze lub życiu.

U dziewczęcia „jasna noc puklów osłania czoło“, chłopiec smutno pochyla głowę „jak kwiat na ostrzu kosy“, „zalały się czarne żale“, śmierć w kościanej pościeli“, „Noc czarne lochy trzyma w około“, krok dziewczyny „wietrzny“, szyja „ptasia“, kochanek wyciąga ku lubej „ogniem ziejące dłonie“ i t. d. Do tego dodać należy cały ogromny zbiór wyrażeń i obrazów, przejętych od Mickiewicza, że wskażemy tylko naprzykład opis diabła w balladzie.

Zamkowa góra, nęcenie chłopca przez wodnice, gdzie wiersze całe przypominają Mickiewicza.

Woda „tak go coś pieści i łechce“, a dalej: „Lekko się marszczy i mąci,

Niby draśnięta wietrzykiem“. Gdzie indziej matka wzywa dzieci:

„Zbiegnijcie czasem na grób waszej matki, Z paciorkiem za grzeszną duszę“, albo też wyrażenia jak „błędne kroki niesie“ „w niebo oczy wznosi“, „głucho wszędzie“ „cóż to będzie?“ i t. d. Dodać należy wielką niedbałość wiersza i niepoprawność języka. Księżyc promienie swe „wkłania“, róg sapie „pogłuchu“ i wiele innych.

Jedyną może zaletą byłaby rozmaitość kształtów wierszowych, zaleta ważna, bo w obec alexandrynów, którymi posiłkowali się klasycy — nowa; atoli osłabia się ona znacznie tem, iż zasługa należy się w pierwszym rzędzie Mickiewiczowi.

To wszystko stwierdza dostatecznie, że Witwicki w początkach zawodu poetyckiego okazał się bardzo bezmyślnym naśladowcą[1]).

Romantyzm szerząc się coraz więcej, przenika i do Galicji. J. N. Kamiński znanymi powszechnie przekładami ballad Szyllera toruje mu drogę, Bogucki Julian i Bielowski August tłumaczeniami wpływają także na zmianę wyobrażeń. Pierwszy przekłada z Szyllera Żórawie Hika [2]), drugi Rybaka Getego [3]). Wreszcie i ta część kraju ma swego Witwickiego, a jest nim niejaki Łapsiński Józef, którego zbiór wydany dopiero w 1829 należy duchem ściśle do pierwszego okresu balladomanii. Obejmuje on obok 54 sonetów, sześć ballad i legendę. Ballady są treścią, formą i obrazowaniem podobne do Witwickiego, niektóre gorsze. Ani jednego nowego motywu — wszystko już znane, wyzyskane i zużyte.

W balladzie „Wstępna środa“ Sambor wykradł kochankę Helwirę: ścigają go i łapią siepacze ojca Bojomira. Helwira zabija kochanka i sama ginie w płomieniach. W tok głównej treści wplata „śpiew pielgrzyma“ z całym aparatem duchów, kulawych djabłów z rożnami, puszczyków, podskakujących trupich głów, suchych szkieletów i t. d.

W „Jeńcach Warneńskich“ zdrada główną gra rolę. Jedenastu Polaków wraz z jednym Bułgarem wzięli Turcy do niewoli. Polacy knują bunt, Bułgar ich zdradza. Koniec tragiczny.

Pod każdym względem godną Witwickiego jest ballada „Wigilia św. Jana“. Jest to naśladowanie przeważnie Prób Rycerza, po części pani Twardowskiej i Tukaja.

---

1) To też wystąpienie jego wywołało ostrą naganę tak ze strony romantyków jak klasyków. Ze strony pierwszych mianowicie Grabowski Michał w Astrei z tegoż roku, surowo ale sprawiedliwie ocenił te niedojrzałe poetyckie płody, potępiając je od początku do końca. Powtarzano głośno, że Witwicki pisał ballady w drukarni, co jeszcze zwiększało naganę.

2) Rozm. lw. 1825 nr. 9.

3) Ibd. nr. 21.

w wigilią św. Jana idzie chłopiec szukać skarbów. Zwycięża pokusy z mocą i wytrwałością.

„Bieży niemka — kusa — tłusta:
Dyk — dyk przed nim, w talerz stuk—stuk,
Lecz on świadom czartowskich sztuk
Zamknął oczy, uszy, usta“

i pomimo, że

„z pod ziemi buchają dymy,
Wije się wojsko straszydeł,
Drzewa mienią się w olbrzymy,
A wilk dostał orlich skrzydeł,
Żmije, węże przy nim syczą,
Nad nim skrzeczą sępy, wrony i t. d.

pomimo tego — nie uległ: djabeł więc „krótko i węzłowato

Capes naszego biedaka
I wnet z nim za piekieł kratą“.

Osnowa taż, co w Próbach rycerza, o tyle bezmyślniejsza, że tam przynajmniej stałość i męstwo zyskały nagrodę — tu karę.

W balladzie „Czary“ czytamy dzieje miłości Hanki, która dwóch razem kochała (Józia w Dziadach); w „Sierotce“, podanie opracowane już przez Chodźkę w „Wasilku“. Sierotka na grobie matki wzywa matkę, która duszę jej zabiera do nieba. Łapsińskiego łączy z Witwickim obok ubóstwa oryginalności, podobny sposób używania mowy w celu uzmysłowienia uczuć grozy, przestrachu lub współczucia i przywiązania. Np. w balladzie ostatniej w 6 zwrotkach 17 wyrazów zdrobniałych, jak trawniczek, kurhanek, wstążeczka, wierzbeczka, gałązeczka i t. d., łączy go z Witwickim niedbałość wiersza i niepoprawność języka. Częste są wyrażenia: „zawiść zemstą podszepta“, „ockła się Hanka“, „westchła na wieki“, „pozyskać zemstę“, „rycerze w odwrocie uwięźli dusze“,

„Uchem słuchają księgi proroka,
Bo przemoc księgę nie czyta,
Ale nie wlepić w ich dusze oka,
Jaka tam księga wyryta“ (Wstępna Środa str. 94).

Łączy go nareszcie z Witwickim naśladownictwo niewolnicze. Balladę Czary kończy mickiewiczowskiemi strofami z Romantyczności:

Gmin ślepo wierzy, choć często błądzi,
Jednakże żywe ma prawdy,
Niekiedy mędrzec, co głębiej sądzi,
Nie widzi istoty zawdy.
Wierzmy, jak wiara wierzyć nam każe,
Czujmy, jak czucie nam gada,
Śmiejmy się, gdy gmin plecie potwarze,
Lecz go i posłuchać nada.

Słowem — u obu tych poetów wady jednakie, u obu ballada dosięga szczytu zepsucia.

W czerwcu 1825 pojawia się w Warszawie zbiorowe wydanie ballad Odyńca, po części rozprószonych dotąd po pismach perjodycznych. Poprzedza je Odyniec wstępem, gdzie wykazuje istotę i zakreśla prawidła estetyczne ballady, oparte i wysnute z wzorów obcych.

Zaznaczyć należy, że wyobrażenia estetyczne Odyńca są już znacznie więcej wyrobione, niż Witwickiego, są o jeden ton mniej ogólnikowe, niż tamte. Wprawdzie u Odyńca „wszystko polega na tem, aby zainteresować czytelnika“, ale poeta ten szuka gdzie indziej środków zainteresowania. Bądź co bądź za zasługę należy mu poczytać, że poezję traktuje, jako artyzm, a dzieła jej powinny jednać i zniewalać pięknymi kształtami, udatną kompozycją, zgrabną formą. Z tego stanowiska wychodząc, kreśli prawidła ballady. Ma ona w sobie dwa pierwiastki, epiczny i liryczny, stąd układ ballady winien być powieściowy, formy śpiewne. „Powieść musi mieć pewne ramy i w nich poeta „wypadki i osoby działające dowolnie szykować może, na pilnem wszakże mając baczeniu, aby, jako w malarskim obrazie, te z nich tylko w większem występowały świetle, na które uwagę czytelnika najbardziej zwrócić pragnie. Na tem polega jedność interesu, najgłówniejsze poezji powieściowej prawidło“.

Jestto nieśmiało i niejasno określone główne prawo wszelkiego dzieła sztuki, iż rysy obrazu służą do uwydatnienia wybitnej jego myśli. Treść ballady może być zaczerpniętą z dziejów własnych lub obcych, ale woli „aby się opierała na podaniach gminnych własnego narodu, albo wypadkach z czasów rycerskich“. W prawidłach nie pomija autor nawet strony psychologicznej. „Przymioty i charakter bohaterów powieści — powiada — muszą być wyższe nad inne współdziałające“. Tak się wywiązują kolizje bohatera ze światem zewnętrznym — i akcja, która „ściśle wiązać się winna z jednością interesu“.

Dotąd, jak widzimy, możnaby się zgodzić z autorem na wszystko, choć nasuwa się mimo woli uwaga, że przepisy te dadzą się równie dobrze zastósować np. do poezji dramatycznej. Autor atoli formułuje się ściślej. Chodzi o bliższe wskazanie źródeł treści ballady. „Duch wojenny panujący powszechnie w wiekach średnich, powiązany z delikatnością uczuć i szlachetnością działania. Chęć szukania coraz nowych przygód i niebezpieczeństw, mocna a pełna imaginacji wiara we wszystko, co było nadludzkiem i nadnaturalnem, stąd rozliczne zwyczaje i przesądy po dziś dzień jeszcze się zachowujące, dostarczą poecie przedmiotów najzdolniejszych do poetyckiego działania.“ Że wszystko to niedostateczne, bardzo ogólnikowe i bardzo powierzchowne, dowodzić nie potrzeba. I właśnie, ponieważ mocna a pełna imaginacji wiara w nadnaturalność, była — według Odyńca — jednym z głównych rysów wieków średnich, a tak nęciła młode umysły romantyków, właśnie dla tego owa charakterystyczna „dziwność“ w balladach stanowi dominujący czynnik. Odyniec broni „dziwności“, a dowody, jakimi za nią przemawia — słabe. „Epopeja ma dziwność, czemuż balladzie mieć jej nie wolno“, — oto dowód pierwszorzędny. Zresztą u Odyńca „dziwność“ — to niby jakaś maszynerja odrębna, nie mająca zgoła związku z życiem wewnętrznem człowieka, potrzebna w balladzie dla zainteresowania, której użycie podobne do użycia n. p. w teatrze kuli w celu wywołania gromów. Słabe ma pojęcie o tem, że najwięksi poeci w duchach i demonach uosabiali siły spoczywające w głębi ludzkiej natury, po za światem wyobrażeń i pojęć, owo wiecznie czynne a dotychczas tajemnicze „fatum“ starożytności, a dalej — namiętności, żądze, ukryte instynkta i t. d.

Odyniec dobrodusznie przyznaje się, że „zresztą wprowadzenie dziwności w balladzie nie jest jej koniecznym warunkiem“ i że on „unikał jej, bo nieczuł talentu w sobie do trafnego jej użycia“.

Autor posiada niezaprzeczenie większy zasób wiadomości estetycznych i większe poczucie piękna, niż Witwicki, ale dowody, jakie złożył, wcielając powyższe prawidła, przypominają wielce przedział, jaki zwykle istnieje między postawieniem prawa, a jego wykonaniem. Nie jest on wprawdzie tak bezmyśnym naśladowcą jak Witwicki lub Łapsiński, ale zaledwie parę razy udaje mu się napisać dobry oryginalny utwór. Zresztą źródłem grzechów Odyńca są wzory obce. Jakkolwiek pragnie, aby poeci czerpali treść do ballad z podań własnego narodu, nie idzie śladem słów tych, i bądź tłumaczy bądź przerabia obcych. To też zbiór powyżej wzmiankowany obejmuje przeważnie przekłady z obcych języków, oryginalnych drobną zaledwie ilość: z Bürgera Lenora, Myśliwiec i Wierność, z Żukowskiego Świetlana, z angielskiego Matylda czyli zamek Little-kot-Hall, Allendal i Pielgrzym [1]), oryginalne: Bolesław śmiały i Ofiara przerwana, które pomijamy, wadami bowiem i właściwościami należą do lat poprzednich.

Zbiór ten świadczy — niekorzystnie o autorze. Bohaterowie bowiem oryginalnych ballad nie mają wcale tej ważności, jakiej od nich żąda przedmowa, opowiadanie zbyt długie i nudne, sytuacje nienaturalne —

1) Równocześnie naśladował ją i Bohd. Zaleski.

słowem — ani „interesu“ ani „akcji“. Odyniec w tym okresie swej działalności, jako balladopisarz podrzędne zajmuje miejsce. W następujących latach ruch balladowy nie ustaje. W r. 1826 umieszcza Dziennik warszawski[1]) balladę anonyma Djabełek w Rumszyszkach. Jest to kompozycja żartobliwa na wzór pani Twardowskiej. Był sobie kochanek i kochanka, djabeł chciał im spłatać figla. Stroi się, jedzie w konkury do panny, która daje mu 3 zadania: nanieść złota, usypać olbrzymią górę, „by się na niej ptak utrzymał“ i zbudować most na Niemnie. Gdy djabeł most już kończy, panna stroskana bieży z kogutem na górę; kogut płoszy djabła, a panna szczęśliwa, „w skarby bogata

Żyła z kochankiem przyjemnie,
Bo się kochali wzajemnie.
Póki nie zeszli ze świata“.

Tegoż roku tamże znajdujemy ballady: Ordyńca Trzy krzyże pod Brykowem i Tyszkiewicza Wiesław i Halina.

W 1827 pojawiła się Kolenda, gdzie liche ballady zajęły czoło; później Chwila spoczynku, małe piśmidło, żywiło się tegoż rodzaju poezja, a dopiero co wymieniony Dziennik warszawski podał znów naśladowanie pani Twardowskiej po małorusku przez Hułaka Artymowskiego, który w sposób oryginalny ale niegodziwy, w chłopskie ją przyodział szaty. Na dowód parę ustępów:

„Rižut skripki i bandury,
Diwczata hopciujut,
Chłopci piut, aż ljetsia z szkury,
Koło ich harciujut
Briaszczyat czarki, lulki skwarcziat,
Szumuje horyłka,
Stuk, harmyder, swystiat, krycziat,
Hołosyt sopiłka, —

a dalej:

Syknuwś ułan, win wzdowż joho,
Szablukoju trisnuw,
Ułan: tiu, tiu, ha, ha, ho, ho
Zajcem w kutku prisnuw.

Z 1828 wymieniamy Pokutę Abrahamowicza, Jaromir i Halina bezimiennego[2]). Pierścień Polikratesa w przekładzie W. Ch.[3]) Nadto czasopismo Polihymnia, wychodzące we Lwowie w 1827 r. w sześciu tomach umieszcza śród innych poezyj wiele ballad, znanych już z lat poprzednich.

W 1829 r. wydaje Odyniec najpierw noworocznik Melitele, gdzie znajdują się ballady: Machwiczowej Felicji: Zosia na cmentarzu, Upiór ballada Morlacka przez Al. Chodźkę oraz Odyńca Wieczór św. Jana (nap. 1826), Wesele 1828), Branka Litwina (1828). Wszystkie trzy weszły do zbiorowego wydania poezyj tegoż autora, dokonanego w Poznaniu 1829 w 1szym tomie Parnasu polskiego.

Daje ono wymowny dowód postępu, jaki zrobił Odyniec od czasu pierwszego wydania swych poezyj (w 1825), jakoteż zmiany w wyobrażeniach o balladzie i jej znaczeniu w walce romantyków z klasykami. Z przekładów znajdujemy tu prócz wszystkich poprzednio wydanych: z Bürgera Dziewczyna i Zakonnik, z Walterscotta Wieczór św. Jana (po raz 1szy w Meliteli 1829), Pielgrzym, z Puszkina Czarny szal, z serbskiego Hajducy; z oryginalnych zaś, Sen Olesi, Zbrodniarz, Wesele, Branka Litwina i Romantyczność albo Niewiadomo co.

Najsłabszy z oryginalnych utworów — Sen Olesi, obrazek rodzajowy, niby chwilka z życia zalotnej pensjonarki. Olesi śniło się, że chodziła z jakimś mężczyzną po łące i widziała w gniazdku parę gruchających gołębi. Samiec odleciał i w smutku pogrążył samkę. Ciekawe dziewczę pyta mamki o wyjaśnienie, a ta przeprowadza analogię między parą gołębi, a nią i mężczyzną. Treść nie zupełnie odpowiada przepisom przedmowy, obrobienie jej niesmaczne i niedbałe. Nadzwyczajna skromność Olesi, wywołująca co słowo żywy rumieniec obok natarczywej ciekawości, a oraz te nienaturalne dekoracje i porównania sprawiają, iż ballada grzeszy przesadą w wysokim stopniu. Olesia ładna „jak anioł“, mamka, posiadająca „nadludzką mądrość“ zwie ją „swoim narcyzem“, a najlepszy dowód przesady daje obraz gołębi, które „oboje bielsze od śniegu.

Rzadko albowiem inne światełko.
Na którem błysło pióreczku,
Wzajem się pod swe tuląc skrzydełko
W jednem siedziały gniazdeczku.

Godną większej uwagi jest ballada Zbrodniarz.

(C. d. n.).

1) Nr. 18 str. 163.
2) Rozm. lwow. 1828.
3) Ibd.

GOLDA

przez

Ama

(Ciąg dalszy.)

Jednego wieczora stara powróciła — a jej nie było jeszcze. Usiadła na zwykłem swem miejscu i czekała.... Pewnie dłużej dziś została w szkole, a może zabawi się u swojej przyjaciółki w mieście, ją tak wszyscy kochają i zapraszają do siebie. Ale nie przyszła ani powiedzieć ojcu albo sąsiadce, że dziś później przyjdzie, ani książek nie zostawiła, jak to czynić zwykła — wiedziała przecież, że ona taka niespokojna będzie. Jej tak tęskno było za nią, bo nie widziała jej i w mieście, choć na nią czekała. Ale niech się tam bawi, niech się bawi młoda i piękna, ona nie na to taka młoda i piękna jak kwiat, aby tu uwiędła pod dziurawym dachem w tej ciemnej izdebce..... nie na to. I znowu marzyć zaczęła o córce swej bogatej i wielkiej pani w przyszłości. — Już późno było, Awrumko już dawno wrócił i spać się położył, a ona siedziała jeszcz i czekała. Na kolanach leżał jej kaftan podarty, który łatać miała, ale znużone ręce jej spadły, głowa się pochyliła i.... usnęła. A we śnie widziała ją piękną i strojną tak bardzo w białej powłóczystej sukni z wiankiem zielonym na włosach, ubraną jak do ślubu. Szelest jakiś ją zbudził — ocknęła się i nasłuchiwała, i biorąc opuszczony kaftan oglądała wielkie dziury, które jej łatać trzeba było i uśmiechała się do snu swego. Gdyby się sen jej sprawdził, gdyby ona dziewczynę swą wydać mogła — bogato. Ale cóż jej da? tę jedną perłową opaskę, którą dla niej chowała tak dawno — i cóż jeszcze? Perłową opaskę? Tak, ona miała perłową opaskę na włosy z białych, lśniących pereł; był czas, kiedy ona miała i brylantowe kólczyki do stroju. Bo stara Ruchla nie zawsze starą była i pomarszczoną, nie zawsze z owocami chodziła po mieście. Był czas, kiedy ona miała lat osiemnaście i czarne pełne ognia oczy i uśmiech wesoły na koralowych ustach, ta uwiędła starowina — i najpiękniejszą, najweselszą była dziewczyną w miasteczku. Był czas, kiedy ta biedna przekupka była bogata — bardzo bogata i sklep miała swój własny. Choć ona nie była u ojca jedyna, bo miał ich ośmioro, a nie był bogaty, dostała w posagu czterysta reńskich, a do wyprawy brylantowe kólczyki i perłową zawiązkę. To majątek był wielki, i stary jej ojciec z trudem zdobył się na to, ale trudno, czekać już nie chciał z dziewczyną, ani nie mógł dłużej, bo starzała się, już i tak miała lat osiemnaście, a Awrumko za którego ją wydawali, był z bardzo pobożnej familii i sam biegły w księgach świętych — mógł dostać więcej. Więc wydali ją, z ostatniego ogołociwszy się grosza. I tak na Ruchlę spadło nagle wielkie szczęście z nieba, wszyscy jej zazdrościli, bo ona do wielkiego jechała miasta — a ona smutna żegnała rodziców i wszystkie kąty swe, bo to wielkie szczęście obawą ją przejmowało, smutna jechała do wielkiego miasta z olbrzymim swym majątkiem i mężem pobożnym. A on był pobożny ten jej Awrumko, rano brał księgę i szedł do bóżnicy, wieczorem w do-

mu zaczęte kończył modlitwy, a ludzie kłaniali mu się i w wielkiem mieli go poszanowaniu — bo on był uczony. Ruchla pracowała za niego i za siebie, zabiegała w małym swym sklepiku, żeby majątku przysporzyć, ale nie szło jakoś niedoświadczonej kobiecinie, nie przybywało nic a ubywało ciągle. Olbrzymi majątek stopniał w jej rękach — i nie miała już nic, ani sklepu ani pieniędzy „W złą godzinę zaczęła" tylko perłowa została jej opaska i mąż pobożny, i dwie zdrowe ręce. Zawiązkę owinęła miękkiemi szmatami i schowała na dno do kuferka, wyjmując z początku tylko na sobotę, potem nie wyjmując zupełnie; mąż jak dawniej całemi dniami przesiadywał w szkole, a ona zdrowych swych rąk rozmaicie użyć próbowała, różnych się imając zajęć. Wreszcie za brylantowe kólczyki nakupiła towaru i wziąwszy kosze na ręce szła na miasto po nędzny zarobek. I tak stała się owocarką a perłowa zawiązka leżała zawinięta w kuferku na dnie, i czekała lepszej doli. Gdyby dziś, myślała sobie starowinka, gdyby ona dziś miała te pieniądze, co wtedy, sen jej stałby się rzeczywistością. Onaby ją wydała.... Ale za kogo? czy był kto na świecie wart tego królewskiego dziecka, gdyby książę jaki nawet sam po nią zajechał, ona namyślałaby się jeszcze, onaby mu może nie dała — a..... księciu jakiemu dałaby już może tę swoję złotą dziewczynę....... I nasłuchiwała znowu, ale cicho było, tylko serce jej tłukło się głośno i mąż jej coś gadał przez sen. Już lampka zagasła — a na dworze noc taka była czarna, ani jedna jasna gwiazdka z ciemnego nie patrzyła nieba, ona już położyć się musiała, lecz z otwartemi oczyma nasłuchiwała — czekała aż do świtu. Pierwszy raz ona takie jej sprawiła zmartwienie, pierwszy raz przez całą noc nie była w domu. Ale za ten niepokój ona jej... żeby przynajmniej była powiedziała!.... ale niechby już tylko tu była — już jej daruje, dziś pierwszy raz. — A skoro świt z zapadłemi oczyma i niewyspaną twarzą dała śniadanie mężowi, i powiedziała mu, że Goldzia dziś u Dwojry (bo już ją wydała) nocowała, i wyszła jak zwykle na miasto, nie mogąc się jej w domu doczekać. Skłamała biedaczka, ale on nie lubił, on zawsze się gniewał na te odwidziny Goldzi u koleżanek w mieście, gdyby wiedział, że ona tam noc przepędziła!.... Ona ją tu spotka pewnie wracającą. Ale napróżno patrzyła i szukała, nie spotkała jej nigdzie, nie widziała jej wracającej w południe ze szkoły, pobiegła do domu, do znajomych i tam jej nie było. I drugi minął dzień i wieczór, i trzeci i czwarty, i cały przeszedł tydzień, a ona szukała jej wszędzie — a ona czekała jej — na próżno. Siedziała nieruchoma z okiem w drzwi wlepionemi czekała. Nie mogła pojąć, nie mogła zrozumieć, w głowie jej się pomieścić nie chciało, że jej dziewczyna nie wróci tu więcej. Ona przed chwileczką wyszła, ledwie że drzwi zamknęła za sobą, tylko jej ta chwileczka tak dłuży się okropnie, bo onaby wiecznie z dziewczyną swą razem być chciała — a to nie można. A wieczór Awrumko wrócił z bóżnicy milczący i modlił się i płakał i okropnym jęczał głosem, bo taka jeszcze zakała na ród ich pobożny i wierny taka jeszcze plama nie padła.

Jej nie było! i ona już do nich nie wróci wyrodna, przeklęta. Przeklęta ona, powietrze, którem oddycha i woda, którą pije i chleb, który pożywa — przeklęty, niech w truciznę jej się przemieni — przeklęte miejsce, gdzie nogą stąpi..... I ręce wznosił do góry i modlił się, przekleństwo śląc na jej głowę A ona obronić swej dziewczyny nie mogła, ona mu przerwać nie mogła. Łamiąc ręce, twarzą upadła na ziemię, a straszne jego milczenie mówiło jej: „Tyś winna" — i oskarżało ją przed nim, przed sumieniem jej własnem, przed Bogiem tam w górze. I przypomniała sobie teraz, jak on jej mówił, żeby dziewczynę zostawiła w domu, żeby jej nie puszczała tam między nich, bo oni ją popsują, oni ją tam trucizną zaprawią. Ale ona niesłuchała go, tylko jej prożbom, tylko swoim uległa pragnieniom, któremi natchnął ją szatan pychy, i wychowała ją.... wychowała ją sobie n a ból i sromotę.

I siedzieli obydwoje siedm dni na ziemi, ledwie pożywiając się i płakali po niej, jak zmarłej. Ósmego dnia on nie miał już córki — wstał i blady szedł do bóżnicy, bledszy niż zwykle, z głową pochyloną, nie śmiejąc podnieść oczu — ale czuł, jak oni patrzyli na niego, wytykali go palcami, głowami kiwając litośnie, słyszał, jak szeptali za nim: „Wychrzciła się" — Za nim Ruchla, wziąwszy kosze, szła do miasta ze zwyczaju, a ludzie nie poznali jej, przez te dni kilka ona zestarzała się i zgięła, i cała jej boleść i wszystkie łzy jej duszy wypisały jej się na twarzy głębokimi zmarszczkami, oczy przygasły, usta zapadły — przez jeden ten tydzień ona postarzała się o lat dwadzieścia..... Biedna kobieta! Ale dobrze jej tak, ona pyszniła się tą swoją laleczką, jak niewiedzieć czem, i nikogo słuchać nie chciała, choć jej wszyscy mówili, że to nie wyjdzie na dobre. Bo zdawna to można było powiedzieć, że ta strojna dziewczyna, taka zawsze wyświeżona, co z wysoka na drugich patrzyła, z nikim się nieprzyjaźniąc, że ona niedługo tu wytrzyma, że pociągną ją tam tańce te i zabawy. Po co to było piąć i wdzierać się nie do swego?.... Ma teraz, na co sobie zarobiła. A ona szła, nie słysząc. Po co ona wlokła się dziś do miasta, na kogo jej było pracować teraz? Ona też już nie wołała, już nie dopraszała się przechodniom — ale milcząca rozglądała się wszędzie. I ujrzała ją jadącą w powozie, przybliżyła się szybko, chcąc ujrzeć ją lepiej — a błoto uliczne rozpryskując się pod kołami padło na twarz jej żółtą, w tej chwili rozpromienioną radością, ona stała tuż przy niej, widziała jej bladą twarzyczkę na aksamitnych poduszkach — ale córka jej nie poznała, nie widziała jej — i powóz jechał dalej. — Ona biegła za nim, za dzieckiem swem, — ale szybko on znikł jej w tłumie, i ona została na gościńcu sama. – Już dziecka swego nie widziała więcej...

* * *

Odwracasz głowę piękna pani, ujrzawszy mnie. Więc pamiętasz jeszcze? — a to już tak dawno, a ty pamiętasz jeszcze tę naszą wspólną przechadzkę, i tę wązką uliczkę, i starą żydówkę i...... Nie pamiętasz? Bo prawda, i cóż tu do pamiętania?

Nie pamiętasz nic z tego, ale zapomnąć nie możesz, że tam na sterczących kamieniach delikatną zraniłaś nóżkę, zapomnąć nie możesz, nie możesz mi tego darować. O nie gniewaj się pani i nie lękaj się, dziś nie wywiodę cię nigdzie. Tu z tobą zostanę, bo stara już jestem i umęczona, taka okropnie umęczona, te kilka lat to sprawiły — i nie ciekawa już jestem jak wtedy. I dziś jednej z tobą jestem myśli, że lepiej i wygodniej w pięknej loży, w tak dobranem znajdować się towarzystwie, wśród mnóstwa jarzących świateł i pięknego słuchać śpiewu, niż po nierównych, niebrukowanych tłuc się ulicach, i do brudnych zaglądać mieszkań..... że zdrowiej dla ciała i umysłu. Czemużem się wcześniej przekonać nie dała? O nie lękaj się, bezpiecznie na twem aksamitnem możesz pozostać krzesełku, ani na chwilę nie wywabię cię, ani na chwilę twego artystycznego nie przerwę ci uniesienia. Zasłuchana i zapatrzona ledwie śmiesz odetchnąć, aby i jednego nie stracić tonu, a melodja ta tęskna i rzewna wciska ci się w duszę, – to płacze i skarży ci się boleśnie, to namiętnymi wybucha tony i rozpacznie się miota, to znowu, wszelkiej zapomniawszy boleści unosi się lekka i srebrna, aby znowu zwolnieć, przycichnąć i w świeżą wylać się skargę i nowem przeciągłem wybuchnąć łkaniem..... Łza połyskuje na jedwabnych twych rzęsach! Jaka ona piękna w tem wzruszeniu, w tej ciężkiej powłóczystej sukni, z koralową we włosach opaską! Kształtna jej główka ugina

się pod złotym ciężarem jej warkocza, a szafirowe oczy pod czarnymi brwiami połyskują tak głęboko — jakby dopowiadając, czego pieśń nie dośpiewała. Jaka ona piękna! A kiedy ty cała w poetycznej rozpłyniona ekstazie pod silnem wrażeniem jej uroczego śpiewu i cudownej jej piękności, kiedy ze wsząd dolatuje cię szept uwielbienia, niby echo twych własnych słów i myśli: „Oh comme elle est belle! comme elle est belle cette juive" ja przypomniałam sobie tę starą owocarkę z tej brudnej wązkiej uliczki, którąśmy widziały tam obie razem - pamiętasz? Coby też ona powiedziała ta starowinka, jakby się cieszyła biedaczka, widząc sen swój spełniony na jawie, widząc dziewczynę swoją strojną i blaskiem otoczoną, i świetnością? Dziwne wspomnienie! ono tobie jasnych twych brudzić nie przyszło uniesień, tyś zapomniała tej starej owocarki i córki jej i ja zapomniałam, i nie wiem skąd ona teraz w pamięci mej stanęła. I ujrzałam ją, za długim ciężkim trenem śpiewaczki ujrzałam jej małą postać w łatane odzianą suknie, i głowę wytartym krytą czepkiem, i twarz jej zżółkłą i pomarszczoną. Ręce drżące wyciągła, jak wtedy, kiedy biegła za córką swą jadącą w powozie i wołała smutna: „O nie byłoż tobie złote moje dziewczę zostać ze starą matką, niż stać tu samej z twarzą taką bladą i ze łzami w oczach!"...

(Dok. nast.)

Ach ci Francuzi!

Humoreska

Pawła Schöntan.

W północnych Niemczech ludzie strasznie przyzwoici. Uczucie moralności jest tu tak czułe, jak liść mimozy, a rumieniec, ten objaw uczciwości i niewinności, który się łączy tak harmonijnie z błękitną jasnością zasad moralnych, występuje zawsze, ile razy tylko zdarzy się coś . . . nieprzyzwoitego. Niezasłonięte nogi stołowe i nagie ramiona kinkietów, które niestety spotyka się w każdem przyzwoitem towarzystwie, są oddawna solą w oku dla wielu niewinnych; pewna znajoma mi dama niechce nawet pokazać swej młodziuchnej córeczce pobliskich okolic Saskiej Szwajcarji, ponieważ tam skały są nagie. Jest to ta sama pani, która z pokoju swej Idy, gdy ta doszła do lat szesnastu, kazała wynieść z pokoju portret Bismarka, ponieważ i Bismark jest mężczyzną. W takich stosunkach oburzenie na literaturę francuską, zwłaszcza dramatyczną, jest całkiem naturalnem, a co do mnie przyznaję, że nie wiele sztuk z repertoaru Theatre Français lub z Ambigu byłoby odpowiednich do grania w teatrze amatorskiem, urządzonym przez pensjonarki na cześć dnia urodzin przełożonej. Ale nie to jest celem poezji dramatycznej. Jeżeli taka rozwiązła sztuka paryska dostanie się przez granicę do Berlina, to dzieje się z nią podobnie, jak z owym motylem, którego ściga chłopak z podniesionym kapeluszem: jeżeli go ma pod spodem, w takim razie dziki łowiec klęka obok, podsuwa kapelusz powoli, aby bliżej się przypatrzyć swej ofierze, którą później przebija szpilką, a kto wie czy jej skrzydeł nieobedrze. Potem motyl puszczony bywa na wolność, jego rzeczą, dokąd zaleci. Tak czyni surowa cenzura: Przedswszystkiem zakazuje się przedstawiać sztukę dotyczącą, później zaś bliższa analiza rozstrzyga o jej losie. Wiele sztuk nie widzi więcej światła dziennego, inne po długich rozprawach zostają wydane dyrekcjom pod warunkiem, że niemiecka gruntowna sekcja oddali z nich jad francuzki; bo . . . inaczej niemożna ich przedstawiać, t y c h Francuzów! . . .

Niemam ja dla cenzorów, (jakkolwiek są to jedyni ludzie, starający się o to, aby nie wszystko było drukowane, co kto napisze), szczególnego szacunku, ale to nie przeszkadza mi bynajmniej być w stosunkach dość przyjaznych z jednym z urzędników cenzury.

Niedawno spotkaliśmy się będąc w dobrym humorze, a ponieważ jest to właściwością ludzi poczciwych, że przy nadarzonej sposobności lubią pomówić o tem, co im leży na sercu, niemogłem ukrywać w obec mego towarzysza przekonań swych osobistych co do skutków, jakie wywołuje ucisk policyjny, ciążący na kilku generacjach, przyczem z wprawną wymową, pobudzoną przez wybornego burgunda, broniłem Francuzów. Cenzor skrzywił twarz swoją, kończącą się charakterystycznie spiczastym nosem, którego kolor przypominał czerwony ołówek cenzuralny, spojrzał na mnie z niekłamanem poczuciem wyższości i szepnął:

— Niechaj mi pan wierzy, że wszyscy Francuzi są łotry.

Niemożna nic puścić, n i c, n i c . . .

Wstrząsnąłem głową niechętnie.

— Pozwól pan, — ciągnął dalej — jutro przyszlę panu książkę, przejrzyj pan ją, a potem dopiero mówić będziesz.

Obiecana książka nadeszła. Spodziewałem się dzieła ze szkoły naturalistycznej i byłem też niemało zdziwiony, zobaczywszy dzieło pedagogiczne, francuzko-niemiecką gramatykę, której tekst był podkreślony i opatrzony uwagami i krzyżykami zakreślonemi znanym jaskrawym kolorem cenzorskiego ołówka; rzecz oczywista czytałem te miejsca przedewszystkiem, i powtarzam je tu nie bez oburzenia. Kto się łatwo rumieni, ten najlepiej uczyni opuszczając te wypisy.

Gramatyka jest w sposób zwykły, jak i inne książki szkolne, podzielona na lekcje. Ale cóż to za lekcje! Oto czytamy zaraz w drugiej:

„Babka moja jest w ogrodzie. Dziadek s p r z e d a ł ogród myśliwemu".

Tu czerwony ołówek zaznaczył §. ustawy, mówiący o sprzedaży dziewcząt. Z trzeciej lekcji wyszczerza do nas zęby dziki cynizm znanego przysłowia „W starym piecu djabeł pali".

„Dziadek twego przyjaciela i żona waszego ogrodnika, są w waszej piwnicy".

Zawzięte kreski, które gubią się dopiero w czwartej części książki, podkreśliły te zdania.

„Nasz poczciwy wuj odjechał. Wierny przyjaciel waszego wuja przybył. Ciotka nasza jest z a d o w o l o n a".

Zdaje mi się, że tu nie potrzeba już zwracać uwagi na bezwstydny związek tych zdań ze sobą; niemieckie pióro, które zresztą zdolne jest do wszystkiego, wzdryga się na myśl o jakimkolwiek komentarzu.

Ale jesteśmy dopiero przy trzeciej lekcji. Idźmy dalej:

4 Lekcja. Księżyc jest okrągły. Ławka ogrodowa jest wygodna. Gdzie jest twoja poczciwa siostra. Moja siostra i twój szwagier są w ogrodzie".

Proszę! w ogrodzie, przy księżycu! Ale idźmy dalej. Obwiążmy się pasem ratunkowym moralnych przekonań, i zanurzmy się z głową w tę toń brudną galijskiego cynizmu.

W 7 lekcji chodzi widocznie o skreślenie podobnej sytuacji:

„Twój szwagier lubi czereśnie. Córka naszego nauczyciela lubi także czereśnie. Sad twego szwagra jest wielki; nauczyciel sprzedał mu swój sad".

No tutaj, to już jasno leży jak na dłoni, że szwagier, który już w 6 lekcji zbliżał się do ciotki włościanina w sposób podejrzany, potrafi obecnie sprowadzić siostrę nauczyciela (a ty łotrze francuski!) n a c z e r e ś n i e do s w e g o ogrodu.

Ale tylko dalej:

13 Lekcja. „Kapitan odjechał, ale kuzynka moja nie odjechała. Gdzież jest twoja kuzynka? K u z y n k a m o j a j e s t c h o r a: ona pisze list, kapitan n i e p i s z e listu".

A dalej:

„Karol ma n i e b i e s k i e oczy. Żona sąsiada ma czarne oczy. Dziecko sąsiada ma niebieskie oczy".

Tu wstrzymać się muszę od wszelkich dodatków, raz dlatego, że pióro się przeciw temu wzdryga, a powtóre, że każde tłumaczenie powiększyłoby tylko złe, tkwiące w tych zdaniach. Refleks rumieńca niejednako odbija się na lekcji 15, przekreślonej na krzyż czerwonym ołówkiem.

„Wdowa leśniczego zgubiła naparstek. Żołnierz i wdowa leśniczego szukają naparstka. Naparstek leży pod stołem. Żołnierz jest śmiały.

Zakończeniem tej pięknej lekcji jest zdanie, które najlepiej charakteryzuje zanotowany na marginesie §. 183 pruskiej procedury karnej.

„Gdzie jest lampa? Lampy nie ma w pokoju, ale Antoni i wnuczka sąsiada są w pokoju. Antoni lubi światło, ale woli ciemność".

Ma on powody do tego przekładania ciemności nad światło, ten luby pan Antoni. A tak idzie ciągle dalej i dalej; z przyrostem słów nowych opisy te nie do oddania zyskują coraz bardziej plastyki, a przewodnią myślą wszystkiego jest ciągle, „przeniewierstwo małżeńskie" i „złamanie wiary" w rozmaitych formach i odmianach.

Chwyciłem książkę przez rękawiczki, włożyłem kapelusz i pobiegłem do mego przyjaciela, aby mu zwrócić gramatykę z wymownym wzrokiem, pokorą grzesznika i głębokim wstrętem. Wyraziste rysy jego przybrały w chwili, gdy odbierał bezwstydną książkę z rąk moich, grymas największego obrzydzenia. Zamknął on tę pedagogiczną bezwstydność do wielkiej szafy podzielonej półkami, a przeznaczonej wyłącznie na książki francuskie, bo na grzbietach czytałem znane imiona; Augier, Belot, Daudet, Claretie i tp. aż do Zoli, nad którego półką oprócz tego była zawieszona etykieta, wyobrażająca trupie główki, takie same, jakich używają aptekarze dla oznaczenia flaszeczek z trucizną. Ah, ci Francuzi!

Przystąpił znowu do swego biurka, skinął na mnie i tonem szeptu, stosownym w świętych ścianach urzędu, czuwającego nad moralnością, rzekł do mnie:

— Oh, jakaż to przyjemność wziąć zaraz po tem jaką książkę niemiecką do ręki.

Mówiąc to podał mi cieniutką książkę w blado-zielonej okładce. Tytuł jej brzmiał: Das Wichtigste der französischen Umgangssprache etc." „Selbstverlag des Verfassers" Napis ten inaczej oddziałał na mnie.. Już to czysto niemieckie słowo Selbstverlag"! Wszakże lat dwadzieścia mając, wdarłem się i ja także na tę górę kalwaryjską karjery literackiej.

Przypatrzmy się tej „moralnej" książeczce bliżej. Autor „najważniejszych frazesów z francuskiej mowy potocznej" podzielił także książkę swoją na lekcje, ale zwie je „obiadami", a potrawy przezeń podane to nie francuski jad wiarołomstwa małżeńskiego, ale niewinne mleko poczciwej myśli i zasad. „Każda flaszka musi być opatrzona marką ochronną". Wzrok mój pada na 5 obiad: Żołnierz, który u bezwstydnego Francuza szuka pod stołem naparstków z wdowami, który opuszcza nikczemnie kuzynki w chwili krytycznej bez pożegnania, tu przedstawiony jest w innem świetle. Tu stoi wyraźnie:

„Wschód słońca jest piękny, ale pałasz u boku żołnierza jest jeszcze piękniejszy."

„Kapitan chwali błyszczące guziki dzielnego żołnierza".

„Flaszka z lakierem grenadjera jest wielka, ale patrontasz dragona jest większy".

„Parada jest piękna, ale wojna jest piękniejsza".

„Dobry żołnierz lubi proszek do czyszczenia guzików"

„Stary generał jedzie wierzchem na spacer, a inni oficerowie jadą także na spacer".

„Dlaczego oficerowie jadą na spacer?"

„Bo nie mają nic do roboty.

„Wuj nasz jeździłby także, gdyby był żołnierzem, ale on jest tylko kupcem. – Powinien się wstydzić tego".

Fizjognomia moja nabrać musiała wesołego wyrazu; poznałem to po wyrazie oczu zazwyczaj poważnego cenzora, który zwrócił uwagę moją na dalsze lekcje, zatytułowane „Śniadania". Tu inny panował ton, ztąd uśmiechał się do mnie krasny bukiet wonnych kwiatów, zebranych w mowie potocznej; jakaż woń niewinna otaczała te zdania w porównaniu z siarczannym dymem, wiejącym z drugiej książki. Oto kilka prób, wybranych na chybi trafi.

„Papuga niedawno poszła za mąż. — Babka złapała tysiąc motyli. — Kolibri udał się na drogę prawa — Nogi rzeźbiarza są wytrwałe."

Cenzura projektowała tu „ramiona" zamiast „nóg"; poprawka ta w interesie przyzwoitości publicznej musi być pochwalona. Dalej:

„Muchy, płuca i młyny mają skrzydła. — Lubimy buty wieśniaka. — Poeta bawi się z psem..."

Cenzor niecierpliwił się chcąc usłyszeć moje zdanie, i w końcu przerwał mi:

— Cóż, znalazłeś pan coś nieprzyzwoitego? Z dumnym uśmiechem wstrząsnąłem głową.

— Nic takiego, abym nie miał tej książki polecić każdej przyzwoitej niemieckiej matce.

— Oh jakże pięknem by było nasze powołanie, — mówił cenzor dalej. — Jakże inaczej by urządzić można biurowe godziny, gdyby nie było tych Francuzów!.

Przegląd literacki.

Dwa nowe dzieła, traktujące o ostatnich chwilach przedrozbiorowych...

(Sejm czteroletni — napisał X. Walerjan Kalinka T. I. Kraków, 1880. T. II. Lwów, 1881. Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta — przez Tadeusza Korzona T. I. Kraków, 1882.)

napisał

B. Limanowski.

XVIII wiek w Europie słusznie nazwać można reformacyjno-rewolucyjnym. Porządek feudalno-stanowy walił się pod ciosami, które uderzały nań z góry i z dołu. Nie odpowiadał on już bowiem ani umysłowym, ani też politycznym i ekonomicznym potrzebom postępowszych społeczeństw owego czasu.

W tej epoce przeobrażania się polityczno-społecznego, Rzeczpospolita polska musiała także zastosować się do nowych form, w które zaczęło się układać życie społeczeństw europejskich. Musiała to uczynić pod groźbą utraty niepodległego bytu. Pojmowały to wszystkie umysły, wzbijające się ponad nawyknienia rutyny, i przesądy partykularyzmu ciasnego.

Jakież to reformy były przedewszystkiem nieodbicie potrzebne dla Rzeczypospolitej?

Zaprowadzenie, po wojnie trzydziestoletniej, wojsk stałych i scentralizowanie władzy wykonawczej nadały państwom europejskim większą jednolitość, i uczyniły je na zewnątrz silniejszemi. Zaprowadzenie wojsk stałych osłabiło znaczenie panów feudalnych, i w logicznem następstwie prowadziło do konskrypcji, tj. do przeniesienia obrony kraju z szlachty, której powołaniem było to dotychczas, na ludność całego kraju. Szlachta przestawała być *stanem rycerskim* a więc traciła najgłówniejszą rację bytu. Dla utrzymania silnego wojska potrzebne były: gęsta ludność i znaczne podatki. Z tych powodów władza centralna z jednej strony musiała dążyć do usunięcia wszystkiego, co tamowało przypływ nowej ludności i wstrzymywało rozrost dawnej; z drugiej zaś strony, troszcząc się o większą zasobność swej kasy, skłaniała się więcej ku interesom miast i mieszczan, aniżeli szlachty, która potrafi-

na była zrzucić z siebie ciężar podatkowy. Im monarcha był postępowszy, tem bardziej traktował szlachtę jako stan nieprodukcyjny. Józef II mówił o magnatach galicyjskich: „ci bogacze podobni do much, które tylko po domu brzęczą i brudne ślady wszędzie po sobie zostawują“ (Pamiętniki Karpińskiego, w wydaniu Turowskiego: str. 1166). Wszystko więc składało się na to, że punkt ciężkości polityczno-społecznej przenosił się od panów ziemskich do stanu miejskiego, czyli burżuazji. W ten sposób państwa europejskie traciły swój dawny charakter feudalno-szlachecki, a przeistaczały się w biurokratyczne monarchje z rosnącym wpływem mieszczaństwa.

Wśród coraz bardziej uwidoczniającego się tego przeobrażenia w Europie, Rzeczpospolita polska świeciła jaskrawo swoją szlacheckością. Była najbardziej szlacheckiem ze wszystkich państw europejskich, bardziej nawet szlacheckiem od węgierskiego, tak pod względem liczebnym, jak ekonomicznym i politycznym. „Ani we Francji, ani w Anglii, ani w krajach niemieckich stan tytułowany nie dosięgał cyfr nawet absolutnych szlachty polskiej XVIII wieku. Ta mogła zwać się n a r o d e m, skoro liczniejszą była od ludności niejednego z państw pomniejszych np. Szwajcarji, Danii. (Korzon 247 i 248)“. W Węgrzech — podług spisu ludności z 1785 r., liczono jednego szlachcica na $21^1|_2$ mieszkańców; w Polsce zaś 1791 r. — biorąc liczby sprawdzone przez p. Korzona, którego mozolną i ważną w tym względzie pracę należy się podnieść z wielkiem uznaniem — na ogólną jej ludność 8.790.000 (Tab. 62 na str. 318) przypadało szlachty 725.000, czyli jeden szlachcic na 8·2 mieszkańców. Szlachecki charakter Rzeczypospolitej polskiej uwydatnił się także w stosunkach ekonomicznych, „Od czasu jak trzysta okrętów angielskich, holenderskich i francuskich zawinęło do portu Gdańskiego (1392) poszukując zboża i płacąc za nie ogromną cenę (9—12 grzywien za łaszt), rzuciła się szlachta do produkowania zbóż na handel zamorski, rozwinęła się wielka uprawa folwarczna, powstawały, rozszerzały i nareszcie upowszechniły się i zapanowały na całej przestrzeni kraju stosunki pańszczyźniane, a Polska stała się krajem rolniczym par excellence. W wieku XVI a nawet jeszcze w XVII była ona spichlerzem Europy, porównywano ją z dawnym Egiptem i Sycylją... I szlachcic ziemianin oparł na roli całą egzystencję swoją: dla roli pogardził nawet innemi źródłami bogactwa krajowego“. (Korzon str. 331). To wyłączne zajęcie się wytworem zboża w celu jego spieniężania, nie wychodziło na korzyść narodu polskiego — jak pomiędzy innymi słusznie już zauważał Monteskijusz w swoim D u c h u p r a w (Esprit des lois L. XX., c. XXIII). Istotnie, popyt ogromny na polskie zboża skierował całą niemal ludność chrześcijańską kraju ku pracy rolniczej. Ta tylko praca doznawała poszanowania. Przemysł coraz mniej popłacał i coraz bardziej upadał. Miasta, które przedtem wzrastały, wzbogacały się, szerzyły oświatę w XV i XVI stul. *) zaczęły upadać. Ekonomiczna ta przyczyna upadku miast połączyła się z polityczną. Albowiem szlachta, tak politycznie jak ekonomicznie przodująca w kraju, skonfiskowała egoistycznie całą władzę na swoją korzyść. „Stan włościan zamieniony w ciężkie poddaństwo, mieszczanie ze wzgardą odepchnięci od wszelkiego wpływu do prawodawstwa i władzy wykonawczej, ujrzeli się pod słabem berłem królów, wybieralnych sierotami we własnej ojczyźnie“. (Surowiecki w wydaniu Turowskiego, str. 124). Wolność szlachecka, ten prawdziwy klejnot przy zupełnem osłabieniu władzy wykonawczej, musiała przerodzić się w dowolność magnacką. Kto był bogatszy i możniejszy, ten panował. Możnowładztwo, z drobnej szlachty zrobiwszy pospólstwo, nie spoglądało więcej na resztę ludu polskiego, tylko jak na rzecz własną i w niczem się od bydląt nieróżniącą (Kołłątaj w listach do Małachowskiego. część II O poprawie rzeczypospolitej str. 317).**)

Do najważniejszych więc potrzeb Rzeczypospolitej należały: ukrócenie dowolności magnackiej przez wzmocnienie władzy wykonawczej, i usunięcie wyłączności szlacheckiej przez podniesienie stanów upośledzonych.

*) Jan Śniadecki trafnie zaznacza ten fakt. „Historja nauk krajowych w XV i XVI wieku uczy, nas że... szlachta szukała chwały z dzieł waleczności w obronie kraju, a wsie i miasta polskie, jako to Kraków, Toruń, Gdańsk, Lwów, Poznań, Biecz, Sambor, Sanok, Pilzno, Krosno, Olkusz, Janiszki, Kurzelów, Szamotuły, Głogów, Dubno, Miechów, Łowicz i inne, służyły naukom i oświeceniu, i wydały szereg najpiękniejszych dowcipów, i wsławionych rozległą nauką ludzi“. (str. 42. Żywot literacki Kołłątaja — w Bibljotece Mrówki.)

**) Drugi spółczesny pisarz (Karpiński) także pozostawia w P a m i ę t n i k a c h swoich świadectwo o magnatach „...pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa boskie i ludzkie gotowi byli podeptać, zabójstwo, krzywoprzysięstwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich ważone...Poddanego wieśniaka równo z bydlęciem kładli, mieszczanina w ostatniej pogardzie mieli, równego nakoniec sobie szlachcica, tylko dlatego, że ubogi, upodlili, — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy: upadam do nóg, całuję nogi pańskie, niegodny podnóżek i tym podobne... (str. 1182).

Potrzeby te odczuwano w Rzeczypospolitej. Tak zewnętrzne jak wewnętrzne warunki przyczyniały się do tego.

Dzieło ks. Kalinki zapoznaje nas dokładnie z zewnętrznemi warunkami. Dają się one streścić w tych kilku wyrazach: sąsiedztwo trzech silnych i zaboru chciwych monarszych rządów.

Nad wewnętrznemi warunkami godzi się trochę dłużej zatrzymać.

Anarchiczna, „złota wolność“, która uboższych i słabszych pozostawiała bez opieki a na możniejszych i silniejszych nie nakładała wędzidła, zniechęciła ku sobie większość szlachecką, pracowitą, dostatnią i miłującą porządek. Czytając pamiętniki Wybickiego, Kitowicza, Karpińskiego, znajdujemy tego liczne dowody. Potrzeba wzmocnienia władzy wykonawczej uczuwała się nader powszechnie i nader silnie. Tylko magnaci i pełni humanizmu utopiści, oczywiście wychodząc z odmiennych pobudek, byli temu przeciwni. Ogół pojmował, iż trzeba położyć koniec oligarchii szlacheckiej. Staszic dobitnemi słowy wyjaśnił tylko to, co większość niejasno odczuwała. „Jakże to, opodal stoi Polska! — czytamy w jego P r z e s t r o g a c h (str. 253), — Gdzież to już zabiegły insze kraje. Gdzie indziej już despotyzm upada. W Polszcze jeszcze oligarchija szlachecka. Polska dopiero w wieku piętnastym, cała Europa już wiek ośmnasty kończy!“

„Duch rycerski — powiada ks. Kalinka przygasł w narodzie, i nie mogła go zaprawdę odżywić Konfederacja barska“ (str. 52 i 53, I). Czytać należy: w n a r o d z i e s z l a c h e c k i m. Lecz nie tylko duch rycerski przygasł, ale — co ważniejsza — szlachta zaczęła tracić wiarę, ażeby mogła sama, bez pomocy czyjejkolwiek, obronić ojczyznę od napaści wrogów. Jedni oglądali się za pomocą rosyjską, drudzy pruską. Ci, co chcieliby dźwignąć się siłami własnego narodu, zaczęli wciągać w rachubę: mieszczan, włościan a nawet żydów. Już podczas konfederacji barskiej, która rozpoczęła się była pod hasłem czysto-szlacheckiem, pojawiają się marszałkami w generalności kozak (Sawa Caliński), szewc (Szczygieł), rzeźnik (Morawski). „Gdyby niebaczna szlachta nie była miast naszych odrzuciła. . . . zapewne nigdyby tak ohydny podział naszego kraju nie był nastąpił“ — pisał Staszic w P r z e s t r o g a c h w 1790 r, Było to zdanie nie jego jednego. „Brały mocarstwa obce w niewolę szlachcica, spoglądał na to miljonowy niewolnik z obojętnością, tak właśnie, jak wprawiony do jarzma wół rozwozi ćwierci nieszczęśliwych

a podobnych sobie ofiar. . .“ pisał Kołłątaj także w 1790 r. I nie jeden to samo myślał. Szlachta, w coraz większem poczuciu swej bezsilności, zaczynała coraz powszechniej wołać o aukcję wojska. Sejmiki z r. 1783 już jednogłośnie żądały pomnożenia wojska. Wreszcie zapadła w sejmie nadspodziewana uchwała: „szlachta dobrowolnie przyznała się do obowiązku płacenia stałego podatku dla Ojczyzny (Kalinka, 437 I.) Był to pierwszy krok na drodze zrzeczenia się wyłączności szlacheckiej. „Dzień dzisiejszy (26 marca 1789 r.) — pisze Essen rezydent saski w raporcie do rządu swego — jest świadkiem bezprzykładnego w dziejach polskich wypadku, i jeśli to się utrzyma a będzie wykowywane, to Polska może jeszcze odzyskać swe miejsce w senacie narodów. Gdyby Rzpta umiała się była wznieść do takich uchwał, nigdyby nie doznała tych nieszczęść, jakie na nią spadły.“ Jeszcze bardziej rewolucyjnym krokiem, pod względem zrzeczenia się wyłączności szlacheckiej, była uchwała z dnia 4 grudnia 1789 r., upoważniająca do poboru jednego człowieka ze stu dymów szlacheckich. Wszak to konskrypcja była jednym z najważniejszych powodów zawziętej walki w tym czasie szlachty węgierskiej z Józefem II! Konskrypcja, to — podług trafnego spostrzeżenia Staszica — przypasanie poddańśtwu szabli, tej jedynej szlacheckiej wolności zasady.“ (294. Przestrogi.) — Wielka szkoda że ks. Kalinka nie opowiedział szczegółowo — jak to czyni w innych wypadkach — sesji tego ważnego dnia.

Podczas gdy szlachta coraz świadomiej czuła swoją bezsilność wobec wrogów zewnętrznych, w innych klasach — pod wpływem głosów nawołujących zaczynało się rodzić i wzmagać poczucie obywatelskie. Pierwsze oczywiście odezwało się mieszczańśtwo. Podczas wojny 1792 okazało wielką gorliwość w bronieniu ojczyzny. W 1794 r. mieszczanie byli niezadowoleni z Kościuszki, że Najwyższą Radą Narodową złożył z samej szlachty i mówili: „Dotąd powierzaliśmy całkiem szlachcie rząd kraju, nie sprzeciwialiśmy się ich ustawom, chętnie płaciliśmy uchwalone przez nich podatki i byliśmy zawsze im posłuszni. Cóż stąd za skutki wynikły? Oto, szlachta kraj zdradziła, dwa razy podzieliła, handel i rękodzielnie zniszczyła, — a jako zdobycz za ich nieustanne kłótnie i niespokojności, mamy obce wojsko. I jakże dziś, kiedy albo wszystko zyskać, albo wszystko stracić odważamy się, samej szlachcie ster rządu mamy zostawić?“ —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd teatralny.

(Gęsi i Gąski, komedja w 5 aktach przez Michała Bałuckiego.)

Doczekaliśmy się oryginalnej sztuki. Jest to za czasów obecnej dyrekcji prawdziwy wypadek, o którym już dlatego samego warto by pomówić obszernie tem bardziej zaś poczuwamy się do tego obowiązku, że mamy do czynienia z nową komedją p. Bałuckiego.

P. Bałucki zjednał sobie jako komedjopisarz zasłużoną sławę. Wszystkie jego utwory sceniczne mają wielkie zalety, a mianowicie odznaczają się niewyczerpanym a naturalnym humorem w djalogu i sytuacji, świetną charakterystyką typów, i szlachetną, prawdziwie postępową tendencją. Ma podobne zalety i ostatni utwór jego, przedstawiany w środę po raz pierwszy na scenie naszej pt. „Gęsi i gąski“. Treść tej komedji da się opowiedzieć w kilku słowach: P. Karol Marzycki, urzędnik, a przytem uzdolniony autor, oświadczył się o pannę Joasię Kłopotkiewicz, młodziutką „gąskę“ wiejską, i został z ochotą przyjęty. Niedługo ma się odbyć ślub i p. Marzycki właśnie przyjeżdża na wieś, aby poprowadzić swą ukochaną do ołtarza, ale zastaje w domu „ciocię“ Rzempielińską, starą elegantkę z Paryża, która wszystkim poprzekręcała w domu głowy i pragnie nawet wydać kuzynkę za wietrznika i wartogłowa Durnickiego, który ukończywszy szkołę kadecką, niewidząc karjery dla siebie w wojsku, „puścił się“ jak to mówią w świat, i trwoni pieniądze mamy. Rzecz prosta, intryga „cioci“ nie udaje się, starzy Kłopotkiewicze i Joasia wracają do rozumu, i p. Marzycki żeni się z ukochaną „gąską“.

Z treści opowiedzianej widzi każdy, iż komedja p. Bałuckiego nieodznacza się ani skombinowaną intrygą, ani zbyt oryginalnym pomysłem. Jest to po prostu obrazek obyczajowy, który z powodu luźnej intrygi nie wiąże się dość ciśle w organiczną budowę, i potrzebował nawet kilku epizodycznych postaci do powiązania słabych nici faktury. A przecież mimo to całej komedji słucha się z przyjemnością! Tajemnica leży w tem, że p. Bałucki, obdarzony nie małym zmysłem spostrzegawczym, umie oddać z fotograficzną wiernością pewne sceny żywcem podchwycone z rzeczywistości, a nadające wiele krwi i życia pojedynczym sytuacjom, i wprowadza na scenę kilka typów charakterystycznych równie żywych i prawdziwych. Niektóre z nich, cofnięte na plan drugi i naszkicowane zaledwie, jak stary Kłopotkiewicz i Marja, już mają wiele rysów typowych, którychby się nie powstydził najznakomitszy pisarz dramatyczny, inne zaś wprost zasługują na nazwę oryginalnych kreacyj. Durnicki np. jest typem zupełnie nowym na scenie, choć w społeczeństwie dość napotykanym, a różne cechy oryginalności i świeżości ma także Joasia, a nawet pani doktorowa, której rola niestety, fatalnie była u nas grana. W ogóle o grze artystów nie wiele da się powiedzieć pochlebnego. P. Walewski, który miał Durnickiego rolę, bardzo ważną w komedji, przesadzał okropnie; był szorstki i gburowaty, podczas gdy ta rola właśnie wymaga pewnej gładkości w obejściu, i salonowego wychowania. Znakomicie grała pani Aszpergerowa, która przedstawiła typ starej elegantki nadzwyczaj charakterystycznie, tudzież p. Zamojski i pani Kwiecińska. Pierwszy nie miał wielkiego pola do popisu, ale starał się, o ile możności, nacechować typ gospodarza wiejskiego, którego oprócz gospodarstwa nic nie obchodzi; druga zaś z wdziękiem przedstawiła rolę, „wiejskiej gąski“. P. Kwieciński spełnił swoje zadanie dość przyzwoicie, o reszcie zaś krytyka łaskawie zamilczeć powinna...

ZIARNKA.

Dziesięć stopni mrozu jednego dnia, a zaraz nazajutrz deszcz, po nim znowu mróz i nieunikniona we Lwowie gołoledź karkołomna, — pełne komicznych efektów obrady walnego zgromadzenia delegatów ziemskiego Towarzystwa kredytowego; w teatrze komedja Bałuckiego „Gęsi i gąski“, a później „Halka“ z obsadą, któraby niechybnie do rozpaczy przywiodła nieśmiertelnego jej twórcę; odwołanie koncertu skrzypka Friemana, z arcyprozaicznego powodu, że w całym Lwowie ledwie 3, wyraźnie t r z y osoby się znalazły, które zdecydowały się „w tych ciężkich czasach“ kupić bilet wstępu — oto mniej więcej skromny bilans kronikarski za tydzień bieżący. Komentarze jakiekolwiek częścią niemożliwe w „Ziarnie“, częścią zupełnie zbyteczne...

Jako pożądaną dla ogółu wiadomość na przyszłość najbliższą, notujemy, że nowa dyrekcja teatru (p. Jan Dobrzański) zaprzątnięta gorliwie przygotowywaniem nowych sztuk, oper i operetek — z których wtajemniczeni wymieniają na razie: głośną F e d o r ę W. Sardou'a, K a r n a w a ł r z y m s k i Straussa, i podobno jedną z najnowszych oper Thomasa. *Qui vivra, verra!*

* “ *

W tych dniach wywozi p. Krywult „Jaskinię Piratów“ Siemiradzkiego ze Lwowa, i wystawi ją w salonie swym artystycznym w Warszawie. Przed miesiącem, kiedy wymieniony obraz naszego mistrza znajdował się jeszcze w Krakowie, zamieściliśmy w „Ziarnie“ obszerny opis i ocenę „Jaskini“. Zdanie tam wyrażone jest zupełnie zgodne z naszem i ze zdaniem ogółu krytyki, która w tym razie odezwała się z dziwną jednomyślnością. Z tego powodu nie zamieszczamy o „Jaskini piratów“ obszerniejszej recenzji, odsełając czytelników do numeru styczniowego naszego pisma.

* * *

Pisma codzienne doniosły już o trzeciej nagrodzie konkursowej w kwocie 3.000 rubli, którą otrzymał znany rzeźbiarz pan Teodor Rygier za projekt pomnika, który wystawiony ma być zabitemu samodzierżcy Wszechrosji Aleksandrowi II. Dodano już do tego faktu komentarze,' na które piszemy się w zupełności. Gdybyśmy nawet hołdowali spłowiałej zasadzie estetycznej „sztuka dla sztuki“, to jeszcze pozostaje kwestja tematu, jaki panowie artyści biorą za przedmiot swych artystycznych produkcyj. Trudno dziś jednak o sztukę bez tendencji, ma ją też i 3000-rublowy projekt p. Rygiera. Do tego, co już artyście temu powiedziano, dodamy jeszcze to tylko, że minął już na szczęście czas sztuki panegirycznej, kiedy to adepci żyli resztkami z pańskiego stołu, i wywdzięczając się za to, żywot swych chlebodawców uprzyjemniali i palili na cześć ich kadzidła. Dziś mecenasem rzetelnego artysty, który szanuje siebie i sztukę, jest ogół, jego celem praca dla postępu i prawdy.

* * *

Z Warszawy, nic szczególnie zasługującego na uwagę zanotować nie mamy. Pan Wierzbowski wykłada historję literatury polskiej na uniwersytecie warszawskim. w języku wykładowym tej wszechnicy, w języku obcym społeczeństwu, które uważa Warszawę za serce swoje i głowę... Oficjalnym augurom trudno dostrajać się do pulsu, jaki bije w ich otoczeniu Nie zdobył się też i p. W. na zerwanie z drogą, po której jako stypendysta kroczył dotychczas... Młodzież warszawska umiała właściwie ocenić postępek takiej kreatury rządowej, jakim jest ten profesor... Piotr Chmielowski inaczej zupełnie postępował sobie w tej sprawie. Umiał być tem, czem jest, jednym z lepszych chorążych postępowego obozu, odrzucił też ze wzgardą i 3000 rubli, ofiarowanych mu przez rząd rosyjski za stratę czasu i zawiedzione nadzieje.

Pocieszającym objawem jest rozkupienie „Ogniska“ w drodze prenumeraty, tem przyjemniejszym, że nie jest to fakt odosobniony, bo i pierwszy tom „Szkiców“ Spencera, wydanych przez młodzież polską, kształcącą się w Petersburgu, został już rozkupiony. Podobno przytem młodzież zamyśla i o innych wydawnictwach dzieł postępowych, o których nie wiedzą nawet, kroczący ślimaczą i utartą drogą nasi panowie wydawcy.

* * *

W dzisiejszym numerze umieściliśmy humoreskę Pawła Schöntana, na którą zwracamy umyślnie uwagę czytelników. Jest to satyra zjadliwa, w której w sposób jaskrawy a nader dowcipny porównani są Niemcy z Francuzami Rzecz ta pisana przez Niemca, mogłaby mieć i u nas poniekąd pewne zastosowanie, ileże owa dziwna nienawiść, jaką część naszych krytyków żywi do obecnych reprezentantów szkoły naturalistycznej francuskiej, opiera się niestety, zbyt często na fałszywem pojęciu ich tendenji.

ZAPISKI.

Literatura.

* Wydawnictwo Szkiców Spencera, które świeżo opuściło prasę w Warszawie, musiało odpowiedzieć istotnej potrzebie naszego społeczeństwa, kiedy egzemplarze od prenumeraty pozostałe, prawie wszystkie rozkupione już zostały. Jest ich podobno w handlu księgarskim nie więcej nad setkę.

Tłumacze zebrawszy fundusz na druk dalszych tomów wydawnictwa Imienia Jeża, przystąpili do przygotowania rękopismu na tom drugi, który obejmie dalszy ciąg tych samych szkiców, a między innemi większą rozprawkę Spencera „o rządzie reprezentacyjnym“.

* Wyszła z druku broszura p. t. „Dziesięć lat pracy na kresach“ (kartka z dziejów Szląska austr.), w której autor opowiada o działalności towarzystwa pomocy naukowej dla księstwa Cieszyńskiego.

Celem towarzystwa jest wspieranie ubogich młodzieńców pochodzenia polskiego, zostających w średnich i wyższych zakładach naukowych, lub w jakimkolwiek zawodzie pożytecznym dla kraju, którzy często i jedynie dla braku utrzymania nie mogą nauk kończyć i poświęcać się wyższym zawodom. Towarzystwo udziela corocznie wsparć w kwocie od czterdziestu do sześciuset złotych reńskich, a majątek jego wynosi obecnie 6900 złotych reńskich. Z tych skromnych środków od czasu założenia towarzystwa otrzymało wsparcie 153 młodych ludzi, a dyrekcja w udzielaniu zapomóg kierowała się utylitarnemi dla kraju względami, udzielała bowiem wsparć przeważnie kształcącym się w medycynie, teologii, pedagogice i agronomii.

Członkiem zwyczajnym towarzytwa, jak się dowiadujemy z pracy p. Bełzy, może być każdy składający na cele oświaty jednego guldena (respective — rubla.) Prezesem towarzystwa jest dr. Józef Fiszer, zastępcą jego ks. Ignacy Świeży, sekretarzem zaś wielce zasłużony redaktor „Gwiazdki cieszyńskiej“ Paweł Stalmach.

* „Współczesne znakomitości“ (Célébrités contemporaines). Pod powyższym tytułem rozpoczęte zostało w Paryżu wydawnictwo życiorysów rozmaitych zasłużonych osobistości. Dotychczas wyszły już biografie: Wiktora Hugo, Juliusza Grévy, Ludwika Blanca i Gambetty. Każdy z tych życiorysów w oddzielnej mieści się broszurze, i może być nabywany pojedynczo.

* Znany estetyk wiedeński Robert Zimmermann zamieścił z powodu przekładu Lipinera, „Pana Tadeusza“ w „Wiener Ztg.“ dwa artykuły, w których stawia Mickiewicza w szeregu najpierwszych poetów wszech świata. Na zdanie to niepotrzebowaliśmy czekać aż do łaskawego odezwania się p. Zimmermana.

Teatr i muzyka.

* „Narzeczona Haram baszy,“ pierwszy dramat T. T. Jeża, dzieło wielce oryginalne, pełne świeżości i kolorytu, który przed niedawnym czasem został zalecony przez komitet artystyczny w teatrze warszawskim, ma być równocześnie—a przy znanej opieszałości w Warszawie, — może i wcześniej wystawiony na scenie teatru praskiego. Prawo przekładu i wystawienia na scenach czeskich uzyskał p. A. Schwab-Polbsky.

* Jedno z pism illustrowanych umieściło w Nrze. 36 życiorys i portret znanego zaszczytnie kompozytora i profesora muzyki p. Maxa Konopaska. Niezmordowany ten pracownik na polu muzyki, który zwrócił już dawno uwagę świata muzycznego znaczną ilością kompozycyj z motywów słowiańskich, p. t. „Slovanki“ ogłosił dotąd ogółem przeszło 60 utworów własnych.

* Juliusz Massenet, twórca opery p. t. „Herodiada“—pisze nową operę do libretta, wziętego z treści znanego romansu Wiktora Hugo: „Notre Dame de Paris.“ Dzieło to ma być wystawione po raz pierwszy na inauguracyjnem widowisku w nowobudującej się paryskiej operze ludowej.

* Juliusz Claretie, znany francuski poeta, pracuje obecnie nad nową tragedją, która będzie nosić tytuł: „Imperia.“ Rzecz dzieje się za czasów cesarza Juliana.

* W Frankfurcie n. M. produkować się będzie niedługo oryginalna śpiewaczka. Madame Marie Selika (Williams), 23 letnia murzynka, urodzona w Ameryce, wystąpi na scenie opery tamtejszej jako „Otello“.

* W Berlinie umarł w tych dniach znany dawniej i lubiony komik tamtejszy Filip Grobecker licząc lat 68.

Sztuki piękne.

* Frańciszek Löfler wymalował na zamówienie piękną kortynę dla teatru miejskiego w Bernie. Kortynę tę odfotografował zakład Angerera w Wiedniu.

* Z Budapesztu, gdzie obecnie wystawione są obrazy Wereszczagina, dochodzi wiadomość, że niedługo mają być zakupione wszystkie batalje genialnego malarza rosyjskiego

* Cesarz cofnął swoje imię, zapisane tytułem protektora na liście członków „Kunstvereinu“ wiedeńskiego, który w ostatnich czasach dostawszy się w ręce niejakiego Terkego, b. urzędnika instytucji a później dyrektora jej i członka rady zawiadowczej, dopuszczał się rozmaitych brzydkich

czynów. Między innymi p. Terke dopuszczał się rozmaitych oszustw artystycznych i na jednej z wystaw „Kunstvereinu“ ukazał publiczności rzekomą kopię oryginalną z Schwinda prześlicznego cyklu „Das Märchen von sieben Raben,“ która okazała sie później po prostu fotografią, retuszowaną i przemalowaną tylko w kilku miejscach przez zmarłego artystę. Oburzenie z tego powodu przeciw „Kunstvereinowi“ wzrastało, a obecnie stowarzyszenie będzie się musiało rozwiązać.

MISCELANEA.

Nędza wynalazców. Przed kilku dniami doniosły dzienniki angielskie o śmierci pewnej panny, Alicji Taylor, która przeżywszy lat dziewięćdziesiąt i jeden, zmarła w wielkiej nędzy na jednem z przedmieść Londynu.

A przecież jej ojciec był pierwszym, który wymyślił i zbudował prawdziwy parostatek!

Dzisiaj roją się morza i rzeki całego świata parostatkami, przedstawiającemi razem wartość miliardów; pierwszy jednak ich twórca umarł z głodu, nie zostawiając wdowie i czterem swym córkom nic, prócz sławnej „nędzy wynalazców“.

Parostatek polega na dwóch momentach. Po pierwsze, na myśli zastąpienia wioseł kołami (później śrubą), powtóre, na użyciu ku wprowadzeniu. tychże w ruch — pary.

Pierwsza myśl wydaje się być bardzo dawną Kiedy Rzymianie r. 211 przed Chr., wylądowali na wyspie Sycylii, używali już wówczas okrętów z olbrzymiemi kołami, poruszanemi za pomocą wołów, zaprzężonych do aparatu odpowiadającego naszym obecnym kieratom. Przyrząd ów jodnak nie musiał być zbyt praktycznym, gdyż Rzymianie powrócili wkrotce do starych wioseł.

W przeszłem stuleciu znów podjęto myśl wprowadzić koła w użycie zamiast wioseł, i nawet pewien anglik, nazwiskiem Tomasz Savery w Londynie, uzyskał r. 1696, patent na taki okręt. Z tej też przyczyny uważa go wielu za wynalazcę parostatku, jednak niesłusznie. Savery bowiem chciał poruszać koła ręczną maszynerją. Dopiero znacznie później, bo w r. 1775, zbudował Francuz Perrier mały okręcik, na którym żwawo płynął w dół Sekwany Pod wodę jednak nie szedł ów statek, tak że zachodzi wątpliwość, czy koła i parowa maszyna na jego okręcie, miały w ogóle jakie znaczenie.

Żył podówczas w pobliżu Londynu człowiek interesujący się wielce wszystkimi fizycznymi problematami — James Taylor. Prawdopodobnie nie o próbie Perriera nie wiedział, gdyż wówczas bardzo mało jeszcze było dzienników zajmujących się podobnemi rzeczami. Przypuścić jednak należy, że mu był znanym patent Savery'ego.

Szukał więc mechanika, któryby mu zbudował małą parową maszynę z przyrządem do obracania kół, ile możności lekką, aby zbyt nie obciążać statku. I znalazł rzeczywiście takiego sztukmistrza, w osobie Wiliama Symigtona, człowieka, trawiącego całe swe życie na nieszczęśliwych wynalazkach.

Taylor i Symington zjednoczywszy umysły, pracowali odtąd wspólnie, do jednego dążąc celu. Cały świat uważał ich za szaleńców; w lecie jednak r. 1788, usiłowania ich uwieńczone zostały tryumfem: Na jeziorze Dalstwintońskiem kołysał się pierwszy parowy parostatek!

Cała Anglia zgromadziła się na brzegach Dalstwintońskiego jeziora, aby podziwiać ten ósmy cud świata!

Parostatek przyjmujący także gości na swe barki, poruszał się wspaniale: naprzód, wstecz, w lewo, prawo — jak chciano.

Taylor i Symington byli przez jakiś czas bohaterami chwili; później, zwolna, zapomniano o nich, i znów pogrążyły ich losy w ciemnościach zapomnienia i nędzy. Parostatkiem na jeziorze coraz mniej się interesowano, i tylko bardzo rzadko przyjeżdżał podróżny, pragnący zobaczyć ów dziwotwór.

Jeszcze raz zaświeciło szczęście wynalazcom, gdy lord Dundas i książe Bridgewater, zamówili kilka parostatków na swoje wody. Jednak zmarł książe Bridgewater, zanim jeszcze uskutecznionym został jego plan, a lord Dundas, będąc obecnym na próbie na Forth i Clydecanal, przestraszył się wielkich bałwanów, między wązkiemi ścianami kanału, sądząc że bezpieczeństwo tegoż byłoby zagrożone. Cofnął tedy swe zamówienia.

Taylor zmarł w nędzy i zwątpieniu. Symington, również doprowadzony do rozpaczy, usunął się zupełnie od publicznego życia. Zdawało się, że nowy wynalazek „szybkich automatycznych statków“ zaginął wraz z nimi.

I rzeczywiście zaginął on w Europie; jednak równocześnie zbudził się ku nowemu życiu w Ameryce, Wprawdzie nie lepszego od Taylora i Symingtona losu doczekali się Jonatan Bitch i Patrick Miller, jednak Robert Fulton rozwinął myśl Taylora na większą skalę.

Jako dwudziestoletni młodzieniec, widział on ów piękny parostatek na Dalswintońskiem jeziorze i zbudował parostatek „Clezmoot“ w Nowym Yorku.

W Sierpniu r. 1807 ruszył z miejsca olbrzymi okręt, i stał się przodkiem ogromnej floty, przerzynającej już w kilka lat potem rzeki i morza Ameryki.

Europa zaledwie słabe miała jeszcze wiadomości o tych wodnych olbrzymach. Można sobie przeto wyobrazić zdziwienie i ironiczne uśmiechy poczciwych mieszkańców Glasgowa, kiedy d. 5 sierpnia 1812 r., spostrzegli następujące plakaty na rogach ulic:

„Wielkim kosztem urządziłem piękny statek, mający przeznaczenie, za pomocą wiatru, powietrza i pary, odbywać na Clydzie drogę między Glasgowem a Greenok. Odtąd odjeżdżać będzie statek każdego wtorku, czwartku i soboty w południe, odpowiednio do przypływu; miejsce lądowania: Droomielaw. Elegancja, komfort, bezpieczeństwo i szybkość, zyskają niewątpliwie uznanie publiczności. Cena: pierwsza kajuta 4 szylingi, druga kajuta 3 szylingi. Henry Bell“.

Tak więc płynął trzy razy tygodniowo parostatek Bella po Clydzie tam i napowrót, zawsze jednak prawie bez pasażerów. „Landkuczery“ i przewoźnicy, do tej pory wyłącznie dzierżący ruch pomiędzy Glasgowem a Creenock, zatrzymali go i nadal dla siebie, spoglądając z pogardą na „djablą skrzynię“, chcącą im wydrzeć zarobek. Glasgowczycy w ogóle nie dowierzali „Komecie“, gdyż Bell był z zawodu tylko cieślą — jakżeż mógł przeto jakieś cudowne maszyny puszczać na wodę?

Tak byłby runął i ten śmiały przedsiębiorca, gdyby mu nie była przyszła w pomoc straszna zima. Wiadomo, że zima 1812 r. należała do najgroźniejszych w historji świata. Ona to była powodem ruiny francuskiej armii w Rosji, i ona to popchnęła krótkowidzących i upartych Glasgowczyków do ciepłych kajut „Komety“. Musieli bowiem odbywać podróże do Greenok, a w czółnach i omnibusach zimno było nie do zniesienia. Tak więc uratowała zima pierwszą parową żeglugę Europy. „Kometa“ utrzymał się i zwyciężył wozy pocztowe i czółna, a w r. 1813 zyskał nawet towarzysza, który już nietylko pływał po Clydzie, lecz także i na morze się puszczał. W niewiele lat potem posiadała już Anglia parową flotę.

Wiadomość o tym zwrocie przedarła się aż do tych głębokich i ciemnych warstw, w których nierozum współziomków pogrążył Symingtona i rodzinę Taylora. Symington wniósł do lordów prośbę o zapomogę. Rzucono mu z łaski 100 funtów szterlingów. Przeżywszy takowe napisał znów żebraczy list, pełen skarg i wyrzutów. Dano mu „odczepnego“ 50 funtów i później nic więcej.

W r. 1830 liczyła już Anglia 315 parostatków w ogólnej objętości 33,500 tonn, — Symington jednak, twórca pierwszego parostatku, błąkał się po ulicach Londynu, podtrzymując życie żebraniną.

Również i wdowa po Taylorze zwróciła się do pariamentu, i jej powiodło się szczęśliwiej, aniżeli byłemu wspólnikowi jej męża. Zamiast jednorazowego wsparcia, otrzymała szczupłą, lecz stałą pensję, która przeszła po jej śmierci w r. 1837 na jej cztery córki. Było to wszakże niewiele; każde z dziewcząt pobierało tylko 50 funtów, z czego trudno wyżyć w drogiej Anglii. W takiej potrzebie przepędziły dzieci Taylora smutne życie, podczas gdy Wielka Brytania, posiłkując się wielką myślą Taylora, corocznie w ogromne wzbogacała się sumy.

Alicja Taylor — zmarła niemal w ostatnich dniach — nie widziała prawdopodobnie nigdy małego, wesołego parostatku na Dalstwintońskim jeziorze; jednak musiała często słyszeć o nim opowiadania. Iluż bolesnemi skargami miotało się jej serce — ilekroć ujrzała inne tegoż podobizny?

Gdyby rodzina Taylor pobierała tylko jednorazowo po jednym funcie „opłaty za wynalazek“ od każdego nowo zbudowanego parostatku w Anglii, od r. 1812 do 1882, należałaby niewątpliwie do zamożnych! Doznała natomiast owej nieskończonej „nędzy“ połączonej z szyderstwem, prześladowaniem, rozczarowaniem i brakiem codziennych potrzeb, nie otrzymawszy nawet w zamian tej zdawkowej monety, którą świat mianem „sławy“ obdarzył...

Komuż bowiem znane jest nazwisko Taylora? James Watt i Robert Fulton całą prawie sławę zagarnęli dla siebie, pozostawiając dla właściwych i rzeczywistych pionierów parowej żeglugi, zaledwie nieznaczne miejsce pamięci świata.

Dopiero śmierć musi ludziom przypomnieć ich obowiązki, i pamięć ich znowu zaostrzyć.

Biedna Alicja Taylor!

Treść.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.